

Zeszyt nr 11 Gogoliński



Publikacja została wydana z okazji
Jubileuszu 800-lecia Gogolina
staraniem Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Gogolińskiej
w ramach III edycji Inicjatyw Społecznych
Miasta Gogolina 2023
oraz Wydziału Rozwoju i Promocji
Urzędu Miejskiego w Gogolinie.

Autor tekstów: Ryszard Rudnik

Przedmowa: Teresa Kudyba

Zdjęcia: archiwum Urzędu Miejskiego w Gogolinie
archiwum Przedszkola publicznego nr 3 w Gogolinie
archiwa prywatne bohaterów publikacji

Grafiki: Katarzyna Bauer
archiwum Urzędu Miejskiego w Gogolinie

Skład: Sergiusz Kłyś/Drukarnia SADY

Druk: Drukarnia SADY
tel. 77/466 70 24
www.sady.net.pl

Spis treści

- 1 / Wstęp
- 4 / Teresa Kudyba Zbudowali dom na skale
- 7 / Ks. Joachim Piecuch Gogolin, moja domowina
- 13 / Henryk Kroll Jak krzepła Mniejszość Niemiecka
- 17 / Łukasz Wojtkiewicz Młodzi dodają mi skrzydeł
- 21 / Werner Szczakiel Nie oszukasz przeznaczenia
- 25 / Gizela Sapok Miałam szczęście do dobrych ludzi
- 28 / Karolina Jaworska
W zapasach marzenia się spełniają tylko najlepszym
- 30 / Inga Krawiec Wszystko zawdzięczam sportowi
- 33 / Karol Jaszkwicz Wszystkie drogi do Gogolina
- 35 / Andrzej Balcerek Prezes na drugim levelu
- 38 / Władysława Wolf Bo ja mam tylko nazwisko niemieckie
- 41 / Bernard Mróz Warto pomagać
- 44 / Ginter Maicher Pracę trzeba lubić
- 47 / Józef Jelito Kinder, Kuchen, Kirche
- 51 / Franciszek Holeczek Najważniejsze jest zaufanie
- 53 / Janina i Zdzisław Daszkiewiczowie Dobro wraca
- 56 / Anna Kucharz Za rękę od śmierci do życia
- 60 / Reinhard Kulesa Fizykiem zostałem przez przypadek
- 64 / Joachim Wojtala Zaufanie zobowiązuje
- 68 / Ryszard Rudnik Spotkałem niesamowitych ludzi



Wstęp

WRoku Pańskim 1223 biskup Wawrzyniec wspominał w swym piśmie o osadzie Gogolino na kraju Wyżyny Śląskiej. Powodem była hardość miejscowych kmieciów, którzy domagali się zmniejszenia dziesięciny. Stąd wiadomo, że na terenach dzisiejszego Gogolina już wtedy mieszkał naród charakterny, który tworzył historię i teraźniejszość tej okolicy przez kolejne osiem wieków. To prawda stara jak świat: O miejscu nie świadczą domy, jego historię tworzą przede wszystkim ludzie. Stąd i 800-letnia historia Gogolina to przede wszystkim opowieść o jego mieszkańcach, ich talentach, pracowitości, zapobiegliwości, które odkładały się przez lata, aż do Gogolina współczesnego, Anno Domini 2023.

Miasto, to w rzeczy samej wieloczętowane puzzle ludzkich losów, które pieczołowicie ułożone tworzą jego całościowy obraz. Oczywiście nie sposób w tym jubileuszowym zeszycie, który oddajemy do Państwa rąk, pokazać je wszystkie. Staraliśmy się ułożyć za ledwie ich niewielki fragment opowiadając o nieszablonowych ludziach, którzy tu żyją, żyli dłużej lub krócej, jednak zdążyli odbić w gogolińskiej społeczności swoje piętno, oddali jej serce, talenty, pracę. Miejmy nadzieję, że każdy znajdzie w tych opowieściach taki fragment, przy którym będzie mógł przyznać, że to opowieść również o nim, to wszak rzecz o ludziach otwartych, spolegliwych, uczynnych, utalentowanych - takich, którzy nie zamykają się we własnej bańce, ale się dzielą sobą z innymi.

Ziemskie 800 lat przeliczając na lata świetlne daje nieco ponad 245 lat. Jeśli znalazłby się gdzieś we Wszechświecie ktoś, kto obserwowałby nas z takiej odległości, dziś widziałby Gogolin sprzed ćwierć tysiąclecia. Czas w jakimś sensie zależy od punktu odniesienia.



Ryszard Rudnik



Poszta Karolinka
do Bogotina
A Karticzek za mią

KAROLINKA



Zbudowali dom na skale

Nie ma tu gór, pagórków ani morza. Ani nawet jeziora, rzeki czy nadzwyczajnych atrakcji w pobliżu. Więc dlaczego właśnie tu: najlepiej się żyje, mieszkają najszczęśliwsi ludzie, stąd się nie wyjeżdża, tutaj się powraca, tu chcą młodzi zakładać swoje zdrowe, dostatnie rodziny?

Gogolin bije rekordy we wszystkich rankingach. Dokładnie w jakich rankingach, dziedzinach, obszarach... można przeczytać na dziesiątkach dyplomów, pokalach, statuetkach, plakietkach, medalach, listach gratulacyjnych poustawianych i powywieszanych z największą starannością w gogolińskim magistracie. A i tak nie wszystko się zmieściło na „wystawę”...

Gogolin jest miastem wyrazistym i modelowym. Bardzo tradycyjnym, ale nowoczesnym zarazem. Taki modelowy wzorzec miasta wytwarza się podobnie jak kołoczek śląski: udaje się i smakuje tylko wtedy, gdy wszystkie składniki są najlepszej jakości, a piekarz to prawdziwy mistrz.

W ostatnich dekadach markę stolicy opolskiej pieśni ludowej, kroszonkarstwa, malowanej porcelany Gogolin wypracowywał konsekwentnie, skutecznie, z pomocą utytułowanych folklorystów i etnografów, ale przede wszystkim utalentowanych lokalnych twórców.

Taki właśnie ludowy, biesiadny Gogolin ze „Szwarnymi Dziołtchami”, przemarszami dętych orkiestr, kołoczem i stadionem pełnym gości sproszonych z rozmaitych etno - zakątków poznałam najpierw. W żadnym innym miejscu na Ziemi Opolskiej nie gromadziło się tylu entuzjastów śląskiego folkloru co w Gogolinie. To było jakieś 30 lat temu i trwało dość długo. Priorytetem na tamte lata było zbudowanie solidnej bazy: należało wpięknąć, zintegrować, uspołecznic miasto. Zafascynowała mnie ta gogolińska wspólnota, rodzinność, zgranie, ten łączący wszystkich cel: zachować tradycje przodków, zbudować skarbiec, nagromadzić do tego skarbcza wszystko co da się wygrzebać z pamięci, obfotografować, sfilmować, solidnie utrwalić i przekazać w spadku młodym. Po to, żeby ich zatrzymać na ojcowiznie. Taki radosny Gogolin można zobaczyć na moich filmach i folderach z tamtych lat. Niektórzy krytykowali „kolorowe jarmarki”, wymalowane



Teresa Kudyba

wkwiatuszki miasto, „bombonierkę”. Ale to była wizjonerska strategia: konsekwentnie tworzona społeczno-kulturowa baza, fundament, na którym można było dopiero rozpocząć dobudowywanie kolejnych pięter samorządowego sukcesu Gogolina.

Potem z roku na rok ambicje Gogolina zaczęły zauważalnie wyrastać ponad poziomy regionalnych poprzeczek. Tytuł Lidera Odnowy Wsi w skali Polski i Europy świadczył wprawdzie o nadzwyczajnej urodzie tego miejsca, „robotności” Karlików i Karolinek, przyniósł rozgłos i uznanie, ale Gogolin nie spoczął na laurach. Mierzył odtąd wyżej i jeszcze wyżej. Obserwowałam, jak erę folkloru zastępuje era biznesu. Wystarczy porównać zdjęcia z „lotu ptaka” - wszystko wyraźnie widać: tam gdzie wczoraj było ściernisko, dzisiaj mamy światowe firmy, a wraz z nimi nowoczesne technologie, wykształconych menagerów, miejsca pracy, młode rodziny, nowe osiedla i wszelaką wokół tego wszystkiego potrzebną infrastrukturę. Taki Gogolin postrzegam dziś, w roku jego 800-lecia. Widzę miasto, do którego powraca pierwotny duch: a jest nim duch przedsiębiorczości.

Gogolin to miasto zbudowane na skale: tej skale wapiennej, rozumianej w dosłownym słowa znaczeniu, ale też w metaforze. Kamień wapienny najwyższej jakości, gogolińska żyła złota...

W minionych wiekach właśnie ta skała przywiodła tutaj inwestorów. Stawiali piece szybowe, kręgowy, produkowali najlepszej klasy wapno: pionierzy industrializacji Górnego Śląska, producenci, fundatorzy, patroni, mecenas, mieszkańcy, radni. Byli oni różnej narodowości, różnych wyznań. Choć dzisiaj ich nazwiska brzmią już młodemu pokoleniu obco, istnieją jeszcze w Gogolinie ich groby. Bywa przywoływana pamięć w publikacjach, kalendarzach, wystawach. W miejscu dawnych kamieniołomów wyrosły lasy i parki, bo zarówno cywilizacja, jak i natura wytyczają nowe drogi, nowe cele. W krajobrazie miasta zachowały się zabytkowe wapienniki, których dawna użyteczność przetrwać musi zarówno w zrewitalizowanej formie, jak też w solidnie spisanych podręcznikach regionalnej historii: prawdziwej historii, gdzie nie występuje tylko wykuty w PRL-owskiej propagandzie etos powstańca śląskiego i robotnego Karlika.

Zbudowali dom na skale – tak brzmi tytuł mojego felietonu, będącego wstępem do książki na 800-lecie. Gogolińska skała to nie tylko ten dosłowny biało-żółtawy kamień, co tu na każdym polu z ziemi wychodzi, zdobi mury i ogrody, a najbardziej pożytecznie spełnia swą rolę w wielkim piecu cementowni Górażdże. Skała to także biblijna metafora najważniejszych wartości, którymi kierujemy się w życiu, odpowiedzialności za dane słowo, wiary w Boga. Tak pojmując skałę, na której 800-letni Gogolin trwa, rozwija się, i tworzy nowe perspektywy, zrozumieć można wreszcie ów fenomen: dlaczego to jest najlepsze miejsce do życia.

Ta książka jest mozaiką opowieści i refleksji osób z różnych środowisk, przekrojem rozmaitych, nawet bardzo odmiennych reprezentacji wizerunku współczesnego i jakże wspólnego dla naszych bohaterów miasteczka o nazwie Gogolin. Z bohaterami tej publikacji rozmawiał znakomity publicysta opolski, redaktor Ryszard Rudnik. Oto jego podsumowujące słowa: „*Miasto, to w rzeczy samej wieloczętonowe puzzle ludzkich losów, które pieczołowicie ułożone tworzą jego całościowy obraz. Oczywiście nie sposób w tym jubileuszowym albumie, który oddajemy do Państwa rąk, pokazać je wszystkie. Staraliśmy się ułożyć zaledwie ich niewielki fragment, opowiadając o nieszablonowych ludziach, którzy tu żyją, żyli dłużej lub krócej, jednak zdążyli odbić w gogolińskiej społeczności swoje piętno, oddali jej serce, talenty, pracę. Miejmy nadzieję, że każdy znajdzie*

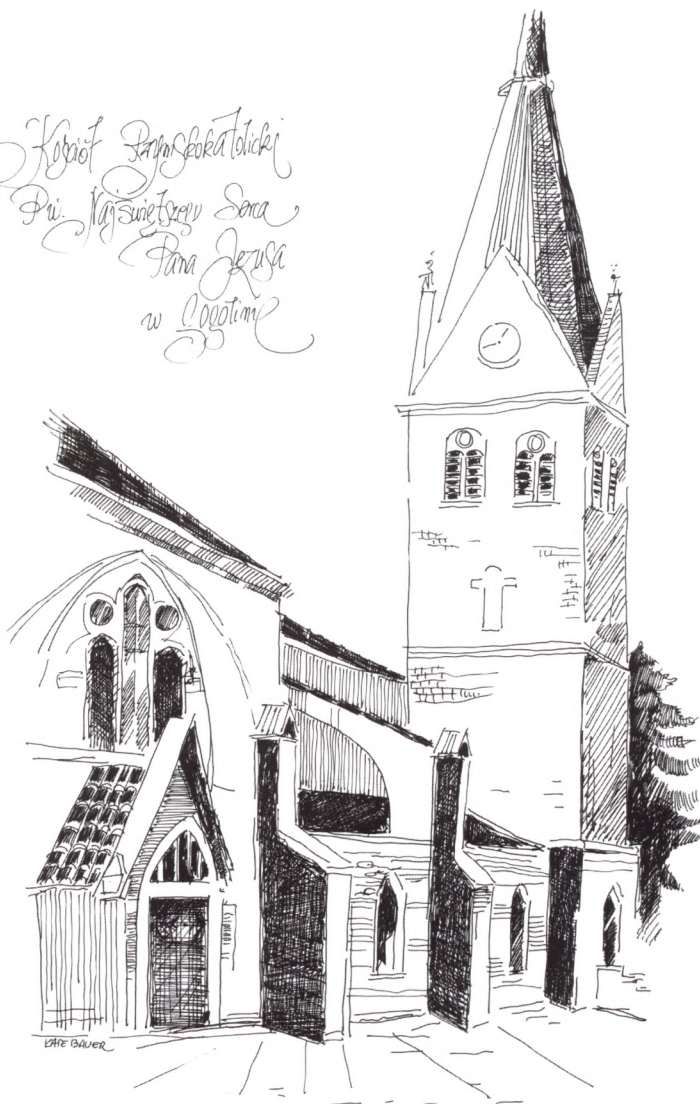


w tych opowieściach taki fragment, przy którym będzie mógł przyznać, że to opowieść również o nim. To wszak rzecz o ludziach otwartych, spolegliwych, uczynnych, utalentowanych – takich, którzy nie zamykają się we własnej bańce, ale się dzielą sobą z innymi”.

800 lat dziejów Gogolina nie da się zebrać we wspomnieniach wszystkich pokoleń, bo to zbyt olbrzymia czasoprzestrzeń. Zamysł był taki, by zestawić obok siebie ludzi rozmaitych, bardziej i mniej znanych, po prostu mieszkających obok siebie w gogolińskim heimacie, ojcowiznie, domowinie, urodzonych i przybytych, przesiedlonych i powracających. Pragnęliśmy, by poprzez Wasze jakże różne opowieści, refleksje, świadectwa ukazał się portret współczesnego mieszkańca tego nadzwyczajnego miasteczka.

Teresa Kudyba

Kościół parafialny
Pw. Najświętszego Serca
 Pana Jezusa
w Gogolinie



Gogolin, moja domowina

Zamiast wstępu niech będzie kilka autorefleksji

Kiedy ludzie opowiadają o sobie, o swoim życiu, jakżesz często siebie przechwalają, eksponują swoje dzieła tak, że przy tej okazji czuć zapach kadzidła, którym siebie okadzają, zapominając o tym, jak wiele jest błędzenia w ludzkim życiu i duchowej biedy. Nigdy do końca nie wiemy, czy jesteśmy na właściwej drodze i na właściwym miejscu, które nam Bóg wyznaczył. „Wiem, że nic nie wiem”, powiedział Sokrates i po dziś dzień uczy nas zapomnianej cnoty pokory. A Pismo Święte jest jednym wielkim wezwaniem do tego, abyśmy w pokorze wiedli nasz żywot.

Nie, moje życiowe czyny nie są godne pochwały i nie posiadam żadnej mądrości, a to co próbowałem z niej uszczknąć, pali mnie do dzisiaj jak cierni w mojej piersi i nie daje mi żadnej radości. Nic więc dziwnego, że człowiek, wbrew temu, co się twierdzi, nie dąży do prawdy, a raczej od niej stroni, gdyż prawda jest gorzka i bolesna. Słodkie jest natomiast kłamstwo, jednakże bardzo zwodnicze. Nie mam zatem do opowiedzenia o sobie, a świadectwo o mnie niech wydadzą inni, chociaż wiem, że nie wypadnie ono najlepiej”.

No cóż, prawdziwe refleksje są gorzkie – komentuje własne słowa ks. prof. Joachim Piecuch, który na użytek tego tekstu woli, żeby go nie tytułować profesorem. Jeśli



Ks. Joachim Piecuch podczas wykładu dla Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Gogolinie.



to ma być rzecz o Joachimie Piecuchu - człowieku, to niech będzie bez żadnych naukowych ozdobników, które przecież o nim nie stanowią.

Myśli przychodzą do mnie, kiedy piszę- mówi filozof Joachim Piecuch, dlatego to nie będzie dla mnie łatwa rozmowa. Słowa, wbrew temu, co o nich można sądzić w naszej przegadanej współczesności, mają swoją wagę. Jak powiedział Platon, „słowa nie należy liczyć, lecz ważyć”.

A jeśli zaczynać, to najlepiej od początku

Jeśli od początku, to o moim kochanym Gogolinie i chyba na tym poprzestaniem. Los tak chciał, a raczej Bóg tak zrządził, że urodziłem się w nim i spędziłem szczęśliwie większość życia. Mieszkałem jednak w wielu innych miejscach: podczas studiów w Nysie, jako wikary w Gliwicach-Sośnicy i Bytomiu, potem w Krakowie, gdzie studiowałem filozofię u ks. Józefa Tischnera. Bardzo miłe wspominałem pobyt we Freiburgu: pierwszy raz, kiedy na tamtejszym uniwersytecie kontynuowałem studia doktorskie i pisałem rozprawę doktorską, drugi raz kiedy przygotowywałem książkę habilitacyjną. Po kilka miesięcy mieszkałem corocznie pod Karlsruhe, a potem przybyłem do niezapomnianego, pięknego Salzburga. Po studiach zamieszkałem w Opolu. Muszę przyznać, że to miasto nigdy mnie szczególnie nie pociągało. Za czasów bytności w tym mieście starałem się więc jak najczęściej zaglądać do Gogolina. Ale i wcześniej czy to z Krakowa, czy z Gliwic, czy też z Bytomia, zawsze było dobrze, choćby na krótko, zawitać do Gogolina nacieszyć się jego widokami, pooddychać jego powietrzem spotkać jego mieszkańców, a przede wszystkim spędzić czas z rodzicami pod dachem rodzinnego domu.

Dlaczego tak? Musiałbym się nad tym zastanowić. Znalazłem kilka miejsc w świecie, gdzie czułem się dobrze, które uważam za drugie ojczyzny. To m.in. Freiburg i Salzburg. I kiedy tam mieszkałem, w ogóle nie tęskniłem za Gogolinem. Pewnie i wówczas coś z rodzinnego miasta, w sobie miałem, choć sobie tego do końca nie uświadamiałem. Ale dzisiaj zauważam, że im dłużej tu w moim rodzinnym miasteczku znowu mieszkam, tym bardziej staje się to dla mnie oczywiste, że tu należę. Te moje wędrówki po świecie i intelektualne miazmaty nigdy nie sprawiły, że kiedykolwiek w życiu nie byłem dumny z miejsca, z którego pochodzę. Gdy stawiałem pierwsze kroki jako katecheta, lekcje religii zawsze rozpoczynałem w ten sam sposób: Pisałem na tablicy moje imię, nazwisko i miejsce pochodzenia. Bo miejsce, z którego pochodzimy, jest ważne dla zrozumienia nas samych. Uczennicom i uczniom żartobliwie mówiłem, że nie wszystko muszą wiedzieć, wiele rzeczy mogą zapomnieć, ale nie mogą zapomnieć jednego, iż najpiękniejsza miejscowość na świecie to Gogolin i jak dodawałem ku ucieście wszystkich, jest to miejsce, nad którym nigdy nie zachodzi słońce.

Teraz, kiedy patrzę wstecz, widzę, że ten Gogolin zawsze niosłem z sobą gdziekolwiek los i obowiązki mnie rzuciły. Nosiłem go, ale nie w sensie patetycznym i przesadnie egzaltowanym, który dawał by mi prawo patrzeć z góry na inne miejsca na świecie. Wszak są one wszystkie piękne, bo wyszły spod ręki Boga i cenne w oczach tych, którzy je kochają. Zawsze czułem się dobrze z tym, że pochodzę z Gogolina, a dzisiaj jestem przekonany, że to jedna z tych szczególnych łask, którymi Bóg mnie obdarzył.



Jeśli pan chce napisać, że Gogolin to dla mnie ojczyzna, proszę napisać słowo *Heimat*, które je lepiej oddaje. Wyraz *Heimat* tłumaczone jest zwykle określeniem „mała ojczyzna”, ale to nie jest do końca trafne. Lepiej oddać sens tego wyrażenia słowem zaczerpniętym z języka serbołużyckiego – domowina. To jest moja domowina. Tu jest mój dom, to jest miejsce moich rodziców i dziadków, tu mieszkali i mieszkają ludzie, którzy pozostawili pierwsze ślady w moim sercu. O tej domowinie stanowią okolice Gogolina z pięknymi pejzażami i widokami, z którymi się żyłem tak mocno i głęboko, że stanowią część mojego jestestwa. Dzisiaj już to wiem: do Gogolina przynależę całym sobą. Dlatego mogę spokojnie odejść z tego świata, bez poczucia większej straty, bo przy moim odejściu on odejdzie ze mną. Teraz, gdy na powrót tu mieszkam, to „gdzie indziej” jest coraz mniej aktualne. Gogolin z każdym dniem coraz silniej wybrzmiewa w moim wnętrzu i nieodwołalnie wrasta we mnie, a ja mam wrażenie, że wrastam w niego, w jego duchową tkankę. Dziś jego widoki, zapachy unoszące się w gogolińskich ulicach, kolory drzew i domów oraz wspomnienia twarzy gogolinian, towarzyszą mi niemal na co dzień. Chociaż, muszę przyznać są też miejsca w naszym miasteczku, które stają mi się dalekie. To te, w którym coraz rzadziej bywam: nowo powstające dzielnice i miejsca które zmieniły tak swój wygląd, że utraciły coś ze starego blasku Gogolina.

Czym jest Gogolin?

Dla mnie nie tylko ważne jest samo miasto, tak samo ważne są jego okolice. Gdy byłem dzieckiem dziadek (*Opa*) każdej niedzieli po Mszy św. dla dzieci zabierał mnie na wycieczki. To były wędrówki piesze, lub odleglejsze, rowerowe. Dziadek podczas nich otwierał mi oczy na świat. Za sprawą dziadka przekonałem się, że Gogolin i okolice mają to wszystko, co może ci świat zaproponować. Tu dzięki niemu doświadczyłem tego, czym jest las z jego tajemniczą atmosferą i całym bogactwem, którym obdarza wędrowca. Tu przypatrywałem się z dziadkiem polom, i wraz z nim zawsze, każdego kolejnego roku byłem na nowo zdziwiony i zaskoczony tym jak rosną i dojrzewają zboża. Łąki, które przemierzaliśmy kryły w sobie tyle rozmaitych gatunków roślin. A dziadek je potrafił nazwać. Wypatrywaliśmy czasem dzikiej zwierzyny. A nad nami na wiosnę krążyły czajki i śpiewały w górze skowronki. Dziadek chłonał te widoki i śpiewał przy tym swoją ulubioną pieśń o tym, jak na nowo na wiosnę zakwitają dzikie bzy (*Weißer Holunder blüht wieder im Garten*). Tak uczył mnie rozpoznawać cuda przyrody i chwalić za to Boga. Wiele czasu spędzaliśmy nad stawami. Zabierał mnie nad Odrę. O wszystkim miał tak dużo do powiedzenia. Lubił opowiadać o tym, jak Gogolin wyglądał w latach jego młodości, o ludziach, którzy odeszli.

Wspominam o tym, bo w tych przeżyciach znalazłem klucz do życia i wszystkiego co potem oglądałem. Czytając o borach, czy wędrując przez nie, myślałem o gogolińskich lasach. Zachwycając się rozległymi polami uprawnymi, wracałem myślą od gogolińskich pól. Zapach i kolory widzianych łąk kojarzyły mi się z rodzinnymi łąkami. Każde jezioro było wspomnieniem stawu z dzieciństwa, a Odra stała się pierwowzorem każdej napotkanej rzeki. Kiedy patrzyłem na góry widziałem pofałdowany teren Gogolina i Górę św. Anny. A kiedy widziałem granie skalne, myślałem o naszych „skałach”, gdzie chętnie się bawiłem. Źródła, samotnie stojące drzewa, tereny ugorów i architektura gogolińskich domów wszystko to stanowiło impuls



pobudzający mnie później do poznawania szerokiego świata. Tak Gogolin stał się dla mnie mikroświatem w pigułce, archetypem wszystkiego, co człowiek w świecie odkrywał i z czym miał do czynienia. Moje rodzinne miasteczko i jego okolice mają po prostu z wszystkiego coś po trosze. Przez te od dzieciństwa noszone w sobie pejzaże domowiny, to, co spotykałem potem w świecie nie było mi nigdy zupełnie obce, stawało mi się szybko bliskie, chociaż nadal pozostawało zaskakujące i budzące zdziwienie oraz zachwyt. Krótko mówiąc, wędrowałem po świecie z krajobrazem Gogolina w sercu. A kiedy wróciłem z pielgrzymki z Ziemi Świętej, będąc na spacerze pośród pól i łąk powiedziałem sobie w duszy: i ta ziemia jest święta.

Niemniej muszę stwierdzić, że prawda, dojrzałość myśli i ocen zawsze wykuwa się poprzez perspektywę tego, co się doświadczyło, co się zobaczyło w życiu. O miejscach, z którymi jesteśmy związani emocjonalnie najlepiej jest mówić z dystansu. Cofając się dwa kroki wstecz pewne rzeczy widać lepiej, lepiej wnika się wtedy w materię rzeczy i zachowuje niezbędne intelektualne napięcie. Najgorzej, gdy człowiek zupełnie gubi się w emocjach, sentymentalizmie, bo z tego nigdy nie będzie prawdy.

Więź z Gogolinem

Dlatego trzeba też chłodno stwierdzić, że Gogolin w porównaniu z innymi miejscami na świecie, wcale nie należy do tych szczególnie malowniczych i zachwycających miejsc, gdzie się zwykło spędzać wakacje i urlopy. Jest tu też wiele spraw, które nadal czekają na pojednanie, na głębsze zrozumienie, na pomyślnie rozwiązania, czy to w sferze duchowej, czy też materialnej. Nad niektórymi nierozwiązanymi lub – w moim przekonaniu – źle rozwiązanymi kwestiami boleję, jak boleję nad każdym niepotrzebnie tu wyciętym drzewem. Ale zostawmy te bolesne problemy dzisiaj na boku. Zastanawiając się nad ciągle powracającymi w mej duszy obrazami rodzinnego miasteczka, z upływem czasu dokonuję odkrycia, że chyba to dlatego, iż domowina jest w pewnym sennie próbą spełnienia tęsknoty za dzieciństwem.

Tak, ten Gogolin dzieciństwa jest dla mnie nad wyraz ważny. I ludzie z tamtych czasów, którzy odeszli pozostają dla mnie bardzo ważni, bo to oni uczyli mnie postrzegać świat. Wspomniany dziadek, rodzice, a nawet całkiem obcy ludzie, choć ci ostatni pewnie w mniejszym stopniu. Dzisiaj, kiedy ich wspominam wydają mi się bardziej wyraziści, bardzo charakterystyczni dla Gogolina, bardziej jacyś barwni i lepiej widzę, jak swoimi intrygującymi charakterami i przekonaniem nadawali koloryt memu miastu. Rolnicy, robotnicy, z zakładów wapienniczych, pracujący „na skale,” czyli w kamieniołomach, ci którzy jeździli kolejką wąskotorową, sklepikarze, piekarze, urzędnicy i nauczyciele... Dwie rzeczy uderzają mnie w tym wspomnieniu. Pierwsza, że ci ludzie naprawdę potrafili pracować. Jak już do czegoś przyłożyli ręki – to sumiennie i uczciwie. Druga rzecz, w Gogolinie ludzie mieli zawsze coś z szerokich horyzontów. Jedni z racji narodowościowych byli otwarci na Zachód, a ci którzy przybyli ze Wschodu, przynieśli z sobą coś z tamtego ich świata. Oczywiście, ich współzycie nie było pozbawione napięć, ale jakżeż ciekawie było przeżywać, jak się wzajemnie poznają i szukają tego, co łączy. A wspólne były codzienne ludzkie sprawy, z którymi wszyscy musieli się mierzyć, i które wszyscy przeżywali podobnie, które tak samo bolały i tak samo cieszyły. Przed wojną pokaźną część mieszkańców stanowili Żydzi.



Katolicy, protestanci i wyznawcy judaizmu mieszkali więc tutaj obok siebie, tworząc jedną społeczność, przyczyniając się do rozwoju naszej miejscowości. W międzyczasie można spotkać ludzi mających tu swoje korzenie we wszystkich zakątkach świata.

Ludzie mojego dzieciństwa bardziej byli nasyceni ciepłem, oryginalnością, wyjątkowi. Często dochodzę do wniosku, że mimo twardego życia, które było ich udziałem, więcej było uśmiechu, szacunku i zrozumienia dla drugiego człowieka niż dzisiaj. Do tych ludzi przeszłości należał, rzecz jasna, mój dziadek, którego już wspominałem. Jakżeż potrafił opowiadać o swoim, dawniejszym Gogolinie, o ciężkiej pracy na roli, o pracy w wapiennikach, o ludziach Gogolina, o jego historii i o wielu innych ogólnych sprawach? Fascynujące jest to, że gdy jako młody kapłan czytałem Tomasa Manna natrafiałem na świat dziadka. Niejednokrotnie podejmował w rozmowach te same tematy co pisarz. Widać, obaj przynajmniej w pewnej mierze byli zanurzeni w tym samym świecie z charakterystycznym dla niego problemami, które wówczas ludzie poruszały. Kiedy myślę o tamtym dawnym Gogolinie i jego ludziach, jak i o tym, jakie piętno na nim wyryli, o lokalnym klimacie, jaki tworzyli, uważam że tamten koloryt naszego miasta jest istotny w jakimś sensie i dziś – dla starszego pokolenia gogolinian, ale i dla młodszych. Choć żyje on już tylko w przekazach, coraz mniej w pamięci, pozostaje nadal nie do końca uświadomionym fluidem, który nas zewsząd otacza. Istnieje więc coś takiego, co nazwałbym wypracowywaną przez poprzednie pokolenia kulturą Gogolina. Chociaż podlega ona ustawicznym różnym przemianom, należy ją i dzisiaj podejmować i iść z nią w przyszłość, aby zachować specyfikę ducha naszego miasteczka. Jednym słowem, istnieje etos Gogolina, a on zobowiązuje.

Gogolin zmienia swoje oblicze

Ta zmiana zawsze mnie cieszyła. Miasto pięknieje, nie sposób tego nie zauważyć, choć są miejsca, których widok dalej boli. W mieście ważne są miejsca, do których często trafiaamy. Dla mnie coraz bardziej istotnym staje się gogoliński kościół. Byłem w wielu świątyniach, które są równie piękne, a z pewnością i piękniejsze. Dla mnie jednak najpiękniejszy pozostał kościół gogoliński. A dlaczego? Oto jest pytanie. Nie wiem. Jest to miejsce przesycone modlitwami wiernych, których twarze mam przed sobą. Modlę się przed ołtarzem, a potem jego obraz towarzyszy mi przez cały dzień. Z gogolińskim kościołem jest trochę tak, jak z samym Gogolinem. Ołtarz nastawowy pokazuje całą historię Zbawienia, podobnie jak Gogolin pokazuje wszystkie pejzaże świata. Nie mogę napatrzeć się tego naszego kościoła i pewnie już nigdy nie nasycę się w pełni oglądaniem jego wystroju i tego, jak się wkomponowuje w krajobraz Gogolina. Ustawicznie coś nowego w nim odkrywam, ustawicznie czymś mnie zaskakuje. Każdym szczegółem do mnie przemawia i podnosi moją myśl ku Bogu. Szczególne to miejsce – ten kościół i ten Gogolin.





Urząd Miejski w Szostinie



Jak krzepła Mniejszość Niemiecka

Może zacznijmy tak: Urodziłem się w Gogolinie, ale wychowałem w Obrowcu. Mieliśmy tam gospodarstwo no i tam się wychowałem. A potem klasycznie: jedna, druga szkoła. Ta druga to liceum w Gogolinie, a po niej studia we Wrocławiu, weterynaria. W Obrowcu po wojnie to ja byłem dopiero drugim studentem. To prawda, były czasy, gdy Ślązacy rzadko wybierali studia, a jeżeli już, to takie, które przygotowywały do konkretnego fachu, jak mój lekarza weterynarii, czy jak tego pierwszego we wsi studenta, który został inżynierem.

Ten praktycyzm miałem zawsze we krwi. Gdy na III roku można sobie było wybrać stypendium fundowane, koledzy rozglądali się za atrakcyjnymi miejscami: morzem, górami a ja marzyłem tylko o tym, by po dyplomie wrócić na Opolszczyznę, najlepiej do Gogolina. No i udało się. Potem pierwszą pracę co prawda zaproponowano mi w Otmuchowie, ale nawet tam nie dojechałem, bo w Strzelcach znalazło się miejsce. Mój staż w tych Strzelcach trwał bardzo krótko, chyba z dwa miesiące. A potem po śmierci kolegi lekarza z Ujazdu, tam pojawił się wakat i w ten sposób zostałem kierownikiem miejscowej lecznicy.

Mniej więcej w tym czasie mój ojciec Johann założył Rolniczą Spółdzielnię Produkcyjną w Obrowcu. Kiedyś wpadł do mnie i mówi, że ma problem – szuka kierownika budującej się właśnie nowoczesnej kurzej fermy. A ja mu na to: po co



Henryk Kroll (drugi z lewej) odstawia tablicę na ścianie budynku Urzędu Miejskiego w Gogolinie upamiętniającą jego ojca Johanna Krolla.

szukasz, może ja bym mógł tym kierownikiem zostać. Pracowałem tam do momentu objęcia funkcji w strukturach Mniejszości Niemieckiej.

W domu nasze niemieckie pochodzenie zawsze było ważne, wiedzieliśmy kim jesteśmy: polskimi obywatelami o niemieckich korzeniach. Ale na zewnątrz zaraz po wojnie takie manifestowanie polskości było niemożliwe. Już 29 stycznia 1945 roku generał Zawadzki, który tworzył na Śląsku zręby polskiej administracji, wydał zarządzenie o likwidacji wszelkich śladów niemieckości na przejmowanych terenach, jeszcze przed konferencją w Jałcie, o Poczdamie nie wspominając. Mój znajomy miał na imię Winfried, kobieta rozdająca kartki żywnościowe spytała go o imię i zdecydowała: odtąd będziesz miał na imię Józef. Żaden urząd, tylko kobieta od kartek żywnościowych zmieniała imiona i nazwiska. W ten sposób nasza rodzina na wiele lat okazała się Królami, a że działo się to trochę „po uważaniu”, czyli powszechnie lecz nie metodycznie, to brat ojca pozostał Krollem, podobnie jak jego najstarszy syn. A młodszy najpierw był Krol, czyli stracił jedno „l” w nazwisku a potem już nazywał się czysto po polsku jak my, przez „ó” kreskowane.

No i to był jeden z tematów, za którymi po terenie jeździł mój ojciec, gdy wysłano go, choć nie chciał, w wieku 60 lat na emeryturę. Jeździł i rozmawiał, jak to było przed wojną, z nazwiskami po wojnie. I zauważył, że wielu chciałoby wrócić do korzeni. Komuna już wtedy chyliła się ku upadkowi, w każdym razie miała całkiem inne problemy niż świeżo upieczony emeryt Johann wtedy jeszcze Król, jeżdżący po okolicy. Tymczasem ojciec zorganizował wtedy taką grupę, „jedenastkę piłkarską”, wszystkich nazwisk nie pamiętam, ale byli tam panowie Schmidt, Stanek, Radwan, Grzesica, Blaut... No i ja przystałem do nich. Prawdę mówiąc długo byłem najmłodszy w tym Komitecie organizacyjnym towarzystwa Mniejszości Niemieckiej.

Zajmowałem się tam wszystkim tym, co trzeba było załatwić po polsku. Między innymi byłem autorem statutu przyszłego Towarzystwa. Z dzisiejszej perspektywy warto docenić, że to była pierwsza po wojnie oddolna inicjatywa organizowania się rdzennych Ślązaków. Tym, co nas motywowało, był język, niemiecka kultura, ale też chęć zatrzymania wyjazdów do Niemiec. W 1988 roku wielu przeciwników Towarzystwa zarzucało nam, że organizujemy się tylko po to, by łatwiej dostać paszporty i wyjechać. Ale my wiedzieliśmy, że tak naprawdę chodzi nam o coś zupełnie odwrotnego: żeby ludzie mniejszości nie wyjeżdżali, żeby nasz Heimat się nie wynaradawiał. A trzeba przyznać, że ciąg do wyjazdów stąd, z pojaruzelskiej biedy był wtedy wyjątkowo silny.

Rzecz jasna byliśmy wszyscy pod lupą służb i zdarzało się, że te służby przywoziły naszym działaczom paszporty do domu, byle wyjechali i nie mącili. I bardzo się dziwili odmową, ponieważ opacznie rozumieli nasze intencje. Trzeba powiedzieć, że myśmy w Gogolinie nie byli ani jedyni ani pierwsi. Bo podobne próby organizowania się Niemców na Śląsku były w Gliwicach, Raciborzu. Tyle że one miały głównie na celu właśnie ułatwienie wyjazdu do Niemiec.

Z rejestracją Towarzystwa nie było łatwo. Przecież przez dziesiątki lat propaganda peerelowska twierdziła, że na Śląsku nie ma żadnych Niemców. Jeśli ktoś mówił „Ślązak”, to był on rzecz jasna tożsamy z Polakiem. I tą barierę trzeba było przeskoczyć. Pierwsze próby rejestracji Towarzystwa nie były pomyślne. Nasz wniosek odrzucił sąd w Opolu i potwierdził to sąd wyższej instancji. Ale sprawa stała się już na tyle głośna, że, pamiętam to dokładnie, 3 listopada 1989 roku zaproszono nas na posiedzenie Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych do Sejmu. To było forum, coś w rodzaju społecznego wysłuchania, gdzie jako reprezentanci Mniejszości



Niemieckiej mogliśmy przedstawić swoje racje. Ja potem byłem przez kilka kadencji posłem i cały ten czas wiceprzewodniczącym tej komisji, i nigdy potem na jej posiedzeniu nie było tylu ludzi, przede wszystkim dziennikarzy, jak owego 3 listopada.

Wtedy w Polsce z wizytą był kanclerz Kohl. Zaprosił nas na uroczystą kolację, na której się nie pojawił. Musiał natychmiast wracać na walący się Mur Berliński, tam wygłosił przemówienie, po czym wrócił do Warszawy na umówione z nami spotkanie. Czuliśmy się docenieni.

Myśmy już mieli wtedy ekipę doradców. Jednym z nich był prof. Józef Mokry z Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego. I on powiedział wprost, że choć demokratyzacja w Polsce nam sprzyja, rząd w Niemczech popiera nasze dążenia, to my rejestracji Towarzystwa Mniejszości Niemieckiej tak łatwo nie przeprowadzimy. Trzeba pokazać, że stoi za nami społeczna siła, a nic lepiej tego nie udowodni jak udział w wyborach do senatu na miejsce po zmarłym senatorze Osmańczyku. W tym celu spotkaliśmy się u naszego adwokata, Rudolfa Flamma w Opolu, był tam też prof., Mokry oraz Norbert Lysek. Wybieraliśmy kandydata. Pomysły na nazwiska były różne, większość oscylowała wokół kandydatury mojego ojca. Dyskusję przerwał prof. Mokry mówiąc: Tak, nasz kandydat musi się nazywać Król, ale to nie może być pan, panie Johannie. Po prostu dlatego, że niestety pan nie potrafi się dobrze wystąpić po polsku i niestety był pan żołnierzem Wehrmachtu. Jedynym kandydatem może być pana syn, Henryk. Dzisiaj jeszcze czuję to mrowienie po całym ciele. Od razu powiedziałem: nie chcę, polityka mnie nie interesuje. Profesor uspokajał: Niech się pan nie obawia, ja pana do tych wyborów przygotuję. Norbert Lysek od razu się zobowiązał, że zorganizuje mi kampanię wyborczą.

Na drugi dzień skoro świt dzwonek do drzwi. Stoi pięciu facetów na czele z Johannem Lenortem z informacją, że zaczynają właśnie moją kampanię wyborczą.

Oczywiście tamte wybory to był kolejny śląski plebiscyt. Wygrałem pierwszą turę, w drugiej z profesorem Dorotą Simonides nie miałem szans, ale przecież nie o to szło. Chodziło o to, by pokazać, że Mniejszość Niemiecka to nie jest kilku starszych panów i ja najmłodszy, lecz stoi za nami wielka społeczność, która domaga się swych praw. I tą siłą wyniki wyborów uzupełniających do Senatu na Opolszczyźnie pokazały czarno na białym. Profesor Mokry, sam pochodzący z Łowkowic, powiedział wtedy: Jeśli chcą policzyć ilu nas jest, to od dziś będą musieli liczyć do 125 tysięcy.

Wówczas, przez nagłośnienie tych wyborów, gdy po raz pierwszy w Polsce o mandat starał się Niemiec, o Gogolinie usłyszał burmistrz Schongau. Napisał list do ówczesnego burmistrza Urbańca i tak się zaczęła przyjaźń i wieloletnie partnerstwo obu miast i gmin.

A potem było pięć kadencji w Sejmie, to już historia na inną opowieść. Dużo udało się zrobić - podsumowuje te lata w polityce Henryk Kroll. Tak jak nie był gotowy, by wejść do polityki, podobnie, przyznaje, nie miał pomysłu na to, co robić, gdy przyjdzie pożegnać się z Sejmem, przewodniczeniem Towarzystwu Niemców na Śląsku Opolskim. Łatwo nie było, ale dzisiaj to już przeszłość. Kilka lat temu wyprowadzili się z Otmętu, wybudowali z żoną swój nowy dom w Gogolinie, w cichej okolicy pod lasem, gdzie nowoczesność połączyli z rodzinnymi pamiątkami odziedziczonymi po ojcu, Johannie Krollu. Zawsze tamte bajtłowskie lata będzie mu przypominał stary kredens w salonie, ostrzelany przez niemieckich żołnierzy, gdy front stał na Odrze. Dziury fachowiec wprawnie załatał, ale ślady zawsze pozostają. Żona już nawet się trochę niecierpliwi, gdy Henryk każdemu z nowych gości opowiada historię tego mebla.



Łosicó Iwanieticki
wybudowany w Łosicimie
w latach 1908-1909
z inicjatywy ks. Eomunia Schmita
dzięki wsparciu
Łosickich Żabtdów
Kłabieńczych



Młodzi dodają mi skrzydeł

Jak to się stało, że młoda para spod Opola osiadła w Gogolinie? Można powiedzieć, w ich przypadku był to widok z balkonowego okna. Przyjechali oni i wówczas jeszcze naręczona obejrzeć mieszkanie do sprzedania. A tu za oknem falujące niczym tafla wzburzonego jeziora łany zbóż, dalej łąki, niewielki zagajnik. Sielsko, anielsko, wiejsko nieomal, no bo to jednak widok z bloku. Popatrzyli na siebie i byli już pewni: To jest ich miejsce na Ziemi. Kolejnego mieszkania, na opolskim Metalchemie nawet nie pojechali obejrzeć.

Łukasz Wojtkiewicz od 18 lat jest nauczycielem polskiego. Belferskim stażem osiągnął pełnoletność. A zaczynał w zawodzie dziennikarza, w dziale miejskim w Nowej Trybunie Opolskiej. Podobało mu się, no ale ciągle nie było wolnego etatu, a zbliżał się już czas by założyć rodzinę, finansowo się ustabilizować.. No i poszukał etatu w szkole.

W sumie to nie był przypadek a raczej kontynuacja rodzinnej tradycji. Ojciec nauczyciel, mama, babcia, ciocie, wszyscy z jednej szkolnej branży. No i oprócz obezwładniającego widoku z okna, praca też czekała w Gogolinie.

– Nigdy nie żałowałem tej decyzji – mówi pan Łukasz. Na tę chwilę, czyli rok szkolny 2021/2022, pracuje w dwóch podstawówkach – gogolińskiej trójce i w Malni. Praktycznie na dwóch etatach, ale jeśli robisz to, co lubisz, nawet praca w podwójnym wymiarze wielkim ciężarem nie jest.

– Bo ja, jakby to banalnie nie zabrzmiało, lubię pracę z dziećmi – przyznaje. – Wydaje mi się, że z uczniami się dogadujemy, choć pewnie i ich należałoby o to zapytać. Nauczyciel-uczeń to taka wzajemnie motywująca się relacja. Mi się chce, kiedy widzę, że im się chce, a im się chce gdy widzą, że i ja daję z siebie wszystko.

Mówi się, że młodzież dzisiaj generalnie wyzuta jest z aspiracji, że najchętniej spędza czas z nosem w telefonie, czy laptopie. Pan Łukasz kompletnie się z tym nie zgadza. Bo jeśli młodym stworzy się możliwości, jak im się coś inspirującego zaproponuje, jak rozbudzi tłące się w nich zainteresowania, no to inwencja, energia i dobre pomysły ich roznoszą.



Łukasz Wojtkiewicz traktuje pracę z młodzieżą jako pasję.



Taki przykład z ósmej klasy. Przyszli z pytaniem, czy nie mogliby założyć kółka teatralnego. A jeśli uczeń ma pomysł, pierwszą zasadą nauczyciela Łukasza Wojtkiewicza jest ich wspierać, utwierdzać, pomagać. No i kółko hula, a to nie jest takie proste: Jeśli spojrzeć na siatkę godzin w siódmej, ósmej klasie, codziennie mają po 7-8 lekcji. Jednak rutynowe obowiązki nie zabijają w młodości pasji, chce im się czegoś więcej, niż tylko odbębnić lekcje, i to jest piękne.

To jest dokładnie tak samo, jak u pana od polskiego Łukasza Wojtkiewicza. Dlatego od 2009 roku jest też opiekunem Młodzieżowej Rady Miasta. Tu spotyka się młodzież, dla której sama szkoła to zdecydowanie za mało, która ma swoje różnorakie pasje i chce po nich zostawić swój ślad w życiu gminy. I ta aktywność często w ich dorosłym już życiu zostaje.

- Przykład pierwszy z brzegu - wylicza pan Łukasz.- Jeden z moich wychowanków jest teraz sołtysem Obrowca, wcześniej był radnym.

Owszem, jak to w życiu, są kadencje MRM lepsze i gorsze, no ale żeby nijakie, to takie się nie zdarzają.

Rada jest organem doradczym, bo jeśli coś samorządowa władza chce zrobić dobrego dla młodych, to warto ich o to zapytać. Nie ma nic gorszego niż uszczęśliwienie ich na siłę.

- Rada współpracuje teraz z drużyną harcerską, mocno angażuje się w wolontariat na rzecz pomocy ukraińskim uchodźcom w gminie - wspomina jej opiekun. Z inicjatywy burmistrza Joachima Wojtali pojawił się pomysł zaadaptowania opustoszałego budynku w parku przy Ligoniu na siedzibę dla młodzieży, MRM, ma tu też być harcerska stacja. Nie będą już wtedy kątem u innych, tylko u siebie. - Jak się tam nic nie będzie działo, to wiadomo kogo to wina- żartuje pan Łukasz.

Bo nicnierobienie im raczej nie grozi. Seżę MRM odbywają się raz na kwartał, ale to co najważniejsze, dzieje się między nimi.

- Mamy grupę 13 radnych, reprezentują w zasadzie wszystkie miejscowości w gminie - informuje ich opiekun. - No i rzecz jasna cały wachlarz zainteresowań: są wśród nich pasjonaci sportu, inni dobrze się czują w sferze kultury. To oni mają się angażować, inicjować, rzucać pomysłami. Ja tu jestem tylko po to, by ich wspierać, ukierunkowywać, ale niczego nie narzucać.

W tej kadencji rozpoczęli cykl spotkań z politykami. Pandemia trochę pokrzyżowała plany, ale powoli wracają do pomysłu. To mają być spotkania z przedstawicielami różnych opcji politycznych. Można przyjść, posłuchać, zapytać, no i wyrobić sobie pogląd, by móc w przyszłości właściwie wybrać.

Jaka jest ta dzisiejsza młodzież? Pan Łukasz nie zastanawia się długo: przede wszystkim zróżnicowana, dokładnie tak samo, jak my, dorośli. Są wśród nich jednostki nieprzeciętne, takie jak jego niegdysiejsza uczennica, Maja Kopeć. Zaczęło się od tego, że w szkole swojemu panu od polskiego podrzucała fragmenty swoich opowiadań.

- I tak mi je donosiła w odcinkach - wspomina pan Łukasz. - Aż jej powiedziałem, Maja, ta historia musi mieć swoje zakończenie. Wysłałem jej prace do kilku wydawnictw. No i zaskoczyło, powstała z tego jedna, potem druga książka - „Całkiem (nie) szczęśliwa historia” i „Zapomnij mi”.

Maja jest już dziś studentką, ma inne życie, ale w rozmowach z młodzieżą Łukasz chętnie o niej opowiada. O dziewczynie na wózku, niepełnosprawnej, która potrafiła



pokazać, że tak naprawdę żadne bariery nie są przeszkodą, jeśli wytrwale się do czegoś dąży. Bądźcie jak Maja, zachęca. Jasne, że nie zawsze się wam uda, ale jeśli nie spróbujesz, nigdy nie dasz sobie szansy.

- Gogolin, to jest nasze miejsce, dobre miejsce do życia. Gdy mówi nasze, myśli rzecz jasna o sobie, żonie, córce i synu. Do widoku z okna dotaczyli skrawek własnymi rękami wykarczowanej z chaszczy działki. I teraz mają mieszkanie w bloku z widokiem i ogródkiem.

- Dobrze się tu mieszka - przyznaje pan Łukasz. - Gdy czasem nachodzą mnie myśli, że mogliśmy skończyć na tym Metalchemie, to cierpnie mi skóra. My już się stąd nie ruszamy. Nie wiem jak dzieci, czy nie wyfruną kiedyś w świat. Ale staram się w nich zasiać przekonanie, że jeśli nawet, zawsze warto tu wracać, choćby z najdalszego zakątka świata.

Łukasz Wojtkiewicz pasjonuje się historią swego miasta. Gogolin, choć prawa miejskie ma od stosunkowo niedawna, jest miejscem z charakterem, z przeszłością i również dlatego ma przed sobą przyszłość.

I o historii tego miejsca opowiada swoim uczniom. Często żartują, że lekcje polskiego z panem Wojtkiewiczem, to taki mikś; literatury, historii i po trosze wuefu, gdy całą klasą wędrują po historycznych zakamarkach miasta, odkrywając ślady jego przeszłości.

Bo Łukasz Wojtkiewicz nie chce się chwalić, ale w jego życiu ciągle musi się coś dziać.





Stacja Tarcowa Gminy Coentlin,
dawniej Tarnowozownia
kolejki wąskotorowej



Nie oszukasz przeznaczenia

Pan Werner zdejmuje z regału pamiątkową plakietkę XXX-lecia Solidarności. W związku był od samego początku, organizacji zakładowej w górażdżańskich Wapiennikach szefował do emerytury.

– Eee, nie było w tym żadnej wielkiej historii – tłumaczy skromnie pan Werner.
– Po prostu jak Solidarność wybuchła to zapytałem na zakładzie w Otmęcie: chłopcy, kto chce się zapisać? A oni na to, skoro pytasz, to tak, ale będziesz naszym przewodniczącym. Z założeniem związku nie było u nas żadnych problemów. Kierownik, owszem, był silnie partyjny, ale jednocześnie nie lubił zadrażniać. Po naszymu można powiedzieć, że nie chcił się sparzyć..

Nad tym przewodniczeniem Werner Szczakiel wtedy się nawet poważnie zastanawiał i wyszło mu, że w życiu coś takiego nad nimi wisi, takie jakieś licho, które zawsze samo go znajduje.



Werner Szczakiel w mundurze przed wydziałem „Otmęt” Zakładów Wapienniczych w Gogolinie.

– Całe życie starałem się być na dystans, nigdzie się nie wychylać, i zawsze mnie to „coś” samo dopadało.

A zaczęło się od wojska. Jak większość chciał odbębnić i tyle, no to skierowali go do szkółki podoficerskiej. Najpierw po dobroci: odmówił. Dobrze, powiedzieli, i nie minęło kilka miesięcy a skierowali go tam rozkazem. A rozkaz to rozkaz, z nim się już nie dyskutuje.

A po wojsku zaczęła się praca jak się mówiło wtedy, „w wapnie” w Otmęcie i trwała przez 40 lat. No i znowu to samo: dyrektor przedsiębiorstwa zobaczył w nim kandydata na mistrza zmianowego. Ale kierownik, bezpośredni przełożony, partyjny był i się po tej linii sprzeciwił: Werner jako bezpartyjny nie może mieć żadnego kierowniczego stanowiska, zwłaszcza, że namawiany, by wstąpić w szeregi, kilkakrotnie odmówił. – Ja - wspomina pan Werner - nawet temu kierownikowi byłem wdzięczny. Bo co tu kryć, na zakładzie dyscyplina była wówczas kiepska, chłopcy lubili popić, a jakby był jakiś wypadek, to kto odpowiada? Wiadomo, mistrz zmiany.
– Gorzej, że za to, że nie chcę do partii, ten kierownik prześladował mojego ojca.

Ciosał mu kołki na głowie, także nieraz ojciec zaczynał o tym rozmowę, choć wiedział, że nie będzie z tego nic.

To były odpryski dawnych czasów. – Tak się złożyło -wspomina pan Werner- że brat mojej mamy jeszcze przed wojną spiknął się z czerwonymi. I gdy nadeszła komunistyczna Polska, to z jednej strony w pierwszych powojennych latach dla rodziny była ochrona, a z drugiej nacisk i oczekiwanie, żeby wstępować do partii. Ojciec ledwo po wojnie wrócił z niewoli, a oni już go do PPR wciągnęli. Jeszcze w latach czterdziestych zwrócił im legitymację, tylko, że nikt o tym w rodzinie nie wiedział. W partii zresztą właściwie też. Bo jak im tą legitymację do organizacji zakładowej zaniósł, schowali ją po cichu do szuflady i nie zameldowali do wyższego szczebla, żeby nie podpaść za kiepską robotę polityczną. Dopiero wyszło to na jaw wiele lat później, gdy ojcu chcieli dać odznaczenie za lata uczciwej pracy, a tu okazało się, że legitymacją rzucił i z medalu nici.

– Jako związek, to myśmy Otmęcie nie byli zbyt radykalni – przyznaje pan Werner.
– U nas to nie to co „w butach”, w proteście przerywasz produkcję i tyle. U nas na wapiennikach tak nie szło, bo piece są przecież na ogniu. Bezkarne nie wyłączysz. Więcej w tej naszej związkowej robocie było tłumaczenia niż grożenia. Może dlatego gdy nastął stan wojenny, właściwie za działalność związkową nie miałem żadnych nieprzyjemności. Nie to co „na cemencie”, gdzie wywalili z pracy cały zakładowy zarząd „S”. A potem przewodniczącego specjalnie musieli sprowadzić do zakładu, bo automatyka jednego z nowoczesnych pieców wysiadła, a on jako inżynier szkolony w Belgii był jedynym specem w okolicy, który mógł coś na to poradzić. Aż dyrektor nie wytrzymał i powiedział, żeby się nie wygłupiali i przywrócili fachowca do pracy, bo i tak jest niezastępowalny.

A z politycznych historii pan Werner pamięta jedną: Przy modernizacji pieca nijak nie można było ustawić parametrów, niedopały przez miesiąc szły. No to się spytał na zebraniu szefowej produkcji, która jednocześnie zawiadywała zakładową organizacją partyjną, czy ona zajmuje się robotą, czy raczej partią. I w ten sposób znalazł się na dywaniku u komisarza wojskowego.

– Na tym dywaniku patrzę, siedzi przede mną młody synek- opowiada pan Werner.
– Od razu pyta, co tam się dzieje. Tłumaczę mu z tym piecem, a on mi przerywa i do mnie: Chłopie, siedź cicho, bo ja tu też chcę cicho przesiedzieć.

A poza tym pan Wilhelm od ponad 35 lat jest kościelnym w starym kościele. Bo w Gogolinie są dwa kościoły: stary nasz i ten nowy, co wcale nie znaczy, że nie nasz, ale u pana Wilhelma taki podział funkcjonuje. I znowu robota sama go znalazła. Najpierw pomagał staremu kościelnemu, Wilhelmowi Rygowskiemu.

– Zaangażował mnie jeszcze stary proboszcz – przypomina pan Wilhelm. – Znowu jak zawsze nie byłem chętny, mówię, że praca, inne obowiązki, ale pod włos mnie wziął tłumacząc, że kościelnym nikt tak prosto z ulicy zostać nie może, a ja przy Wilhelmie się sprawdziłem i jestem naturalnym kandydatem.

I tak to już trwa czwarty krzyżyk, można powiedzieć. Kościół trzeba rano otworzyć, wszystko przygotować, ubiór dla księdza do mszy, pomóc mu się ubrać, wyszykować wszystko do ołtarza. Po mszy wszystko pozbierać i przygotować jeszcze raz to samo dla kolejnego księdza na następną mszę. Kościelny to człowiek do wszystkiego.



Przygotowanie do mszy – porządki wokół świątyni - on, trawę ściąć - on, złota rączka do drobnych napraw- też on.

– Kiedyś miałem do pomocy kolegę Józka, ale mu się zmarło. A siły już nie te – przyznaje pan Werner. – Teraz jak czwarta na cyferblacie zawsze mówię proboszczowi, że se musze siednąć.

Ostatnio pan Werner martwi się doniesieniami o łączeniu w diecezji opolskiej parafii z powodu księzkowskich wakatów. Bo to jest też problem gogolińskiej parafii – proboszcz Aleksander Sydor już od trzech lat mógłby być na emeryturze, ale biskup poprosił go, by został jeszcze rok, bo są problemy z zastępstwem.

– A poza tym – przyznaje kościelny Szczakiel – u mnie wszystko w porządku. – Siły nie te co kiedyś, ale radę daję. Jestem rocznik 1939, czyli jeszcze przedwojenny – śmieje się. – Te powojenne roczniki już takie zahartowane nie są...



Pocztą w Legatimie



KATE DAUER

Miałam szczęście do dobrych ludzi

To może najpierw krótko o sobie: Jest nauczycielką, pracuje w Przedszkolu nr 3 w Gogolinie, imienia Karlika i Karolinki. Jest tam również logopedą. Gogolinianka od urodzenia a nawet głębiej, bo stąd są też jej dziadkowie i rodzice.

Gdy się pracuje w przedszkolu, poznaje się ludzi od najmłodszych wychowanków przez ich rodziców do dziadków. Jeśli w przedszkolu pracuje się od 30 lat, to powstaje z tego całkiem liczna armia znajomych. Praca w przedszkolu pomaga więc też Gizeli Sapok jako radnej, której z natury rzeczy sprawy oświaty w gminie są szczególnie bliskie. Im więcej zna się ludzi, tym bardziej ze zrozumieniem podchodzi się do ich problemów, tym trafniej można ocenić rozmaite uwarunkowania. Świat nie jest zero-jedynkowy i im więcej w człowieku doświadczeń, tym łatwiej dostrzec życiowe niuanse.

No i to tyle byłoby o sobie, bo pani Gizela uważa, że w człowieku ważniejsze od tego kim jest, liczy się to, co ma do zaoferowania innym. To tłumaczy jej zaangażowanie w Stowarzyszeniu Pomocy Rodzinie Gminy Gogolin „Okaz serce innym”, któremu teraz szefuje. Oficjalna nazwa długa, lecz sens działania prosty i zawiera się w jej ostatnim członie. Pomaga się ludziom w trudnej sytuacji życiowej. Pomoc otrzymują mieszkańcy w różny sposób poturbowani przez los: materialnie, niepełnosprawni, dotknięci ciężką



Gizela Sapok spełnia się w pracy z dziećmi.



chorobą albo też po prostu nie dający sobie rady w życiu. „Okaż serce innym” pomaga już od 2003 roku, a jednym z inicjatorów jego zawiązania był obecny burmistrz Joachim Wojtala. Szmata czasu, a świat jest przecież tak poukładany, że Stowarzyszenie, pewnie tak jak Orkiestra Owsiańska, będzie potrzebne do końca a nawet jeden dzień dłużej.

Dziś Stowarzyszenie liczy 38 członków, ludzi różnych profesji, w tej różnorodności tkwi właśnie jego siła, bo wiedza z różnych dziedzin zajął się i tworzy skuteczne narzędzia pomocy. Oni już to wiedzą: Sama chęć pomagania nie wystarczy, trzeba też wiedzieć jak, a każda ludzka historia wymaga indywidualnego podejścia. Nie każdy, komu trzeba pomóc, potrafi potrzeby wyartykułować.

A one się zmieniają, tak jak zmienia się rzeczywistość. Najpierw to była głównie pomoc rzeczowa, węgiel na zimę, podręczniki dla dzieci. Potem zaczęła dominować pomoc skierowana na dobrostan człowieka- finansowanie niezbędnej rehabilitacji, rozwoju emocjonalnego. No a teraz, pani Gizela widzi, że pomoc rzeczowa pewnie wróci i znowu trzeba będzie pomagać ludziom w kupnie węgla na zimę.

Tradycją i sposobem Stowarzyszenia były zumbi, prowadzone przez profesjonalistów, gdzie od uczestników zbierano pieniądze na wyznaczone cele. Trochę pandemia zakłóciła te praktyki, ale zumbi powoli wracają na listę stowarzyszeniowej aktywności. A oprócz tego są warsztaty kreatywne, terapia zajęciowa, formy, w których pomoc łączy się z międzyludzką integracją, rozmową przy kawie, wymianą doświadczeń, które pewnie przydadzą się na przyszłość.

Bardzo „Okaż serce innym” ceni sobie współpracę z Bankiem Żywności w Opolu. W ramach programu Nie marnuj żywności, udało się ją dla potrzebujących mieszkańców gminy sprowadzić w całkiem sporych ilościach, za 58467 złotych tylko w 2021 roku.. A oprócz tego były też zbiórki dla uchodźców z Ukrainy. Było dla nich śniadanie wielkanocne dla 400 osób, na które ze swej strony Stowarzyszenie zebrało 7972 złote 43 grosze. Tak właśnie, bo każdy grosz się liczy. Była zbiórka produktów dla Ukraińców, którzy znaleźli swój azyl w gminie. Wspólnie z harcerzami 18 Wodnej Drużyny Wielopoziomowej „Cień” przez dwa dni udało się zebrać przed gogolińskimi sklepami żywność i środki czystości za 13250 złotych. A poza tym 4170 złotych na specjalnie dla nich utworzonym subkoncie i 5 tysięcy na kontynuację specjalistycznego leczenia, przerwane ucieczką od wojny.

- No tak- sumituje się trochę pani Gizela. - Ja tu mówię o naszym Stowarzyszeniu, ale przecież tak naprawdę o szczodrobliwości, empatii i niezwykłym dobrym sercu gogolinian. Bez nich najlepsze nasze chęci nie byłyby wiele warte.

Chęć pomagania musi więc trafić na podatny grunt, czyli na przykład na zespół Attonare z Komprachcic, który nigdy jeszcze nie odmówił udziału w charytatywnym koncercie w Gogolinie. Ta współpraca zaczęła się w 2014 roku, kiedy pani Gizela organizowała zbiórkę dla chorej na stwardnienie rozsiane swojej koleżanki, matki czwórki dzieci. Udało się wówczas zebrać na tym koncercie aż 25 tysięcy złotych. W ten sposób chorej kobiecie podarowano jeszcze dwa lata życia.

W 2020 roku Stowarzyszenie z rąk burmistrza Gogolina otrzymało statuetkę Zwyczajni Niezwyczajni, którą uważają za zwieńczenie swojej dotychczasowej działalności. A w 2021 Gizela Sapok indywidualnie, a nie zbiorowo, otrzymała wyróżnienie marszałka województwa w konkursie Społecznika Roku za działalność charytatywną.

Praca zawodowa, działalność charytatywna, samorządowa w radzie gminy- skąd znaleźć na to wszystko czas? - Trzeba się nauczyć dobrze nim dysponować- uśmiecha



się pani Gizela. – No i trzeba mieć szczęście do ludzi. Ja zawsze je miałam, a to jest jak zwycięski los w życiowej loterii.

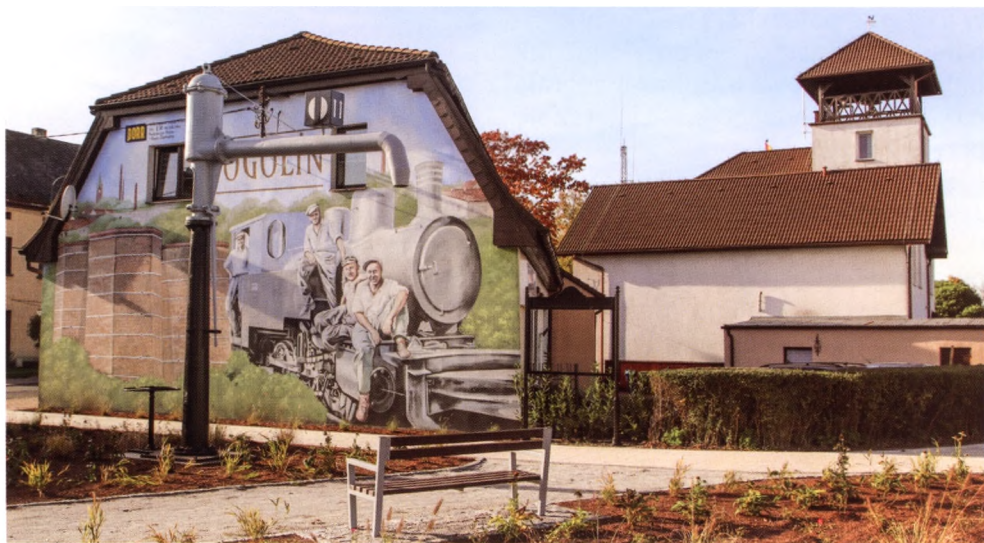
A co do pracy w radzie gminy, to jest dobry punkt obserwacyjny, by zobaczyć jak zmienia się świat, a szczególnie miła sercu jego cząstka: Gogolin i cała gmina. Choćby oświata, która z racji profesji jest radnej Sapok szczególnie bliska. W Gogolinie jest przyrost naturalny, mało która gmina na Opolszczyźnie może to o sobie powiedzieć. Osiedla się tu coraz więcej młodych ludzi, trzeba więc coraz więcej miejsc w przedszkolach. Wszystkie gogolińskie przedszkola i szkoły są świetnie wyposażone i radna Sapok przykłada do tego swą skromną rękę. Cała oświata prezentuje tu wysoki poziom. Dość powiedzieć, że 60 proc. kadry oświatowej to nauczyciele dyplomowani, czyli z najwyższym zawodowym cenzusem. Często, gęsto z długim stażem, doświadczeni, ale, co ważne, nie wypaleni.

Samorząd Gogolina na oświatę nie żałuje. Dokłada i to sporo, bo państwowej subwencji do standardów nauczania, jakie sobie założyły miejscowe władze, grubo nie wystarcza.

Ważne miejsce w kształtowaniu młodych ludzi spełnia w Gogolinie edukacja regionalna. Bo ważne, żebyś wiedział, skądżeś jest. Gizela Sapok i tu dołożyła własną cegiełkę. Razem z koleżanką Katarzyną Figielą skrobnęły o tym trzy książki dla przedszkolaków, pisane w śląskiej gwarze: „Poszła Karolinka do...”, „O dzielnym Karliku, gogolińskich lasów strażniku”, „Karlik nasz zuch morowy, do pomocy zawsze gotowy”.

Jest też autorką tekstów dla swoich przedszkolaków biorących udział w corocznym konkursie śląskiego berania w Izbicku. I zawsze jej malcy są tam w czołówce. A wiadomo, że sukces napędza sukces i generalnie chęć do dalszej pracy.

Jakby się tak zastanowić, pani Gizela rzeczywiście ma szczęście do ludzi, ale i ludzie do pani Gizeli, że stanęła na ich drodze.



Odrestaurowany żuraw wodny i mural na skwerze przy ul. Krapkowskiej.



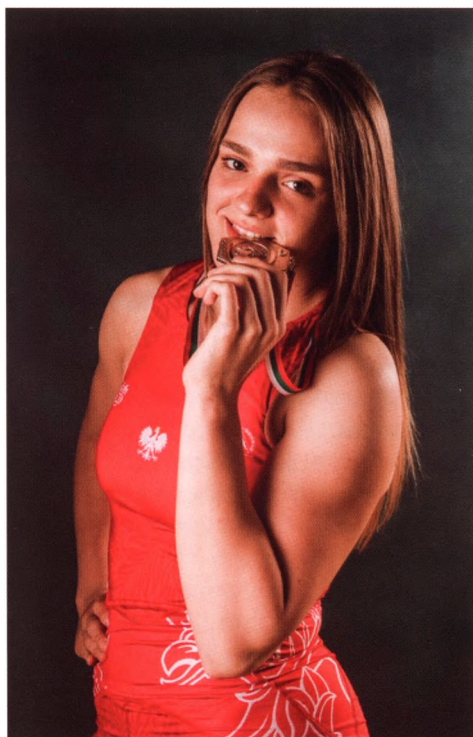
W zapasach marzenia się spełniają tylko najlepszym

Karolina to od niedawna juniorka w zapasach w stylu wolnym. Juniorstwo zaczyna się od lat siedemnastu. W 2021 roku jeszcze jako kadetka, czyli szczebel wiekowy niżej, zdobyła wicemistrzostwo Europy. Dla laika styl wolny od klasycznego różni się tym, że tu można atakować w parterze, czyli od pasa w dół.

Mistrzostwa Europy w czerwcu 2021 roku to były jej pierwsze tak ważne zawody jako członkini reprezentacji Polski kadetek w wadze 69 kilogramów. Drogę po medal zaczęła od pojedynku z Niemką. To była trudna walka, obie zdobywały punkt za punkt. Co chwilę trenerzy zgłaszali challenge, nie można się było skupić. Trudne to było zwycięstwo. Potem była przeprawa z Węgierką, która zesłała do nóg, no i to był jej błąd, bo Karolina w parterze położyła ją na plecy. W finale z Białorusinką nie poszło już tak łatwo. Złoty medal Karolina przegrała 6:0. Trudno, ale srebrny krążek też się przecież liczy.

Skąd się wzięły u niej te zapasy? Jako dziewczynka była niespokojnym duchem, szukała swojego miejsca: trenowała hip-hop, ćwiczyła w mażoretkach, była nawet ministrantką. Zapasami zainteresował ją wujek. Właśnie szedł na trening i zapytał: Karolina, może spróbujesz? Miała siedem lat i od razu poczuła, że sporty walki są dla niej. Siedem lat to wiek w sam raz, by zacząć treningi jeśli w tym sporcie coś się chce osiągnąć. Dziś jej dzień wygląda tak: najpierw szkoła, liceum Kilińskiego w Krapkowicach, potem dwie godziny treningu: szybkościowego i siłowego, czyli bieg i ćwiczenia siłowe, potem lekcje i spanie. I tak przez pięć dni w tygodniu. Sobota to dodatkowe ćwiczenia na siłowni, niedziela zarezerwowana jest na bieganie. – Tak sobie kondycję dorabiam – żartuje Karolina.

W zapasach lubi to, że rywalizacja jest transparentna. Zawsze wygrywa lepszy, nie ma miejsca na sędziowskie kunktatorstwo. Bo jeśli leżysz na łopatkach to nikt



Karolina Jaworska swoją sportową karierę rozpoczęła w Gogolinie.

nie powie, że stoisz. Tu nie ma nic za darmo, ani na piękne oczy. Dziś jej cel to medal na mistrzostwach świata, ale na taki wyjazd trzeba sobie zapracować zwycięstwem w mistrzostwach Polski, sukcesami w pucharach. W zapasach marzenia się spełniają tylko najlepszym. Na tej drodze trzeba położyć na plecy wiele zawodniczek, rywalizacja jest duża. Karolina aktualnie trenuje w ZKS Gogolin, a MŚ to jej najbliższy wielki cel, potem rzecz jasna igrzyska olimpijskie. Choć ten sport uprawa od 10 lat, w karierze seniorskiej jest na początku drogi. W stylu wolnym walczą jeszcze zawodniczki, które mają 35 lat. Dla siedemnastolatki to odległa perspektywa, w jej wieku czas nie płynie tak szybko. Zapasy to nie piłka nożna, tu jest więcej satysfakcji z wygranej niż z tego pieniędzy. Karolina rzecz jasna ma plan: po szkole kontynuacja kariery a jednocześnie zdobycie uprawnień trenerskich i szkolenie dziewczyn, które zaczynają przygodę z tym sportem. Bo żyć z czegoś trzeba.

W jej sportowej drodze najbardziej wspiera ją rodzina, mama, tato, gdy tylko mogą, jeżdżą z nią na zawody. No i rzecz jasna trenerzy Lucjan Zięba a od niedawna Krzysztof Bartnik. Ci ostatni rzecz trenują, rodzina mobilizuje. I jest przy niej zawsze, na dobre i złe. To złe to oczywiście kontuzje – zwichnięcia kolana, barku, to w tym sporcie przypadłość, która się zdarza. Cena, z którą niestety trzeba się od czasu do czasu liczyć.



Wszystko zawdzięczam sportowi

– Dziś żyje się ze sportu, a za moich czasów żyło się dla niego – mówi Inga Krawiec, jedna z pierwszych Ślązaczek w powojennej reprezentacji Polski w piłce ręcznej, równie jak szczyornistka, niezła lekkoatletka.

– W 1954 razem z Czesią Bojko, Gienią Minicką i Anią Wojtaszek ustanowiłyśmy nawet rekord regionu w sztafecie 4x100 metrów - wspomina.

Ten wynik – 51,1sek., utrzymał się potem przez wiele lat. Oprócz tego nieźle skakała w dal i pchała kulą. No ale to handball był tą dyscypliną, która najbardziej skradła jej serce. Może i niesłusznie. Redaktor Gągola, wówczas dziennikarz sportowy Trybuny Opolskiej, który wiernie towarzyszył występom opolskich sportowców, nie raz powtarzał: Ty Inga powinnaś rzucić tę piłkę dla lekkoatletyki, bo masz talent dany od Boga..

No ale życie potoczyło się inaczej. Dziś mało kto pamięta, że wtedy, na początku lat 50-tych ubiegłego wieku, w piłkę ręczną grało się na pełnowymiarowym boisku piłkarskim w jedenastoosobowym składzie. Hala i siedmioosobowa drużyna przyszły trochę później. Gogolin, ale też cała Opolszczyzna żyły wówczas handballem. Na mecze przychodziły tysiące kibiców. I nie było takiego, kto nie słyszał o Indze, wtedy jeszcze Krause. Jako siedemnastolatka, uczennica gogolińskiego liceum, grała w świeżo założonej sekcji piłki ręcznej Budowlanych Gogolin. Była świetna, nic dziwnego, że w 1953 trafiła do reprezentacji Polski. Dla skromnej dziewczyny z Gogolina, to było wielkie przeżycie. W koszulce z orłem na piersi wystąpiła w sumie 48 razy.

Do dziś doskonale pamięta Mistrzostwa Świata w Jugosławii w 1957, pierwsze w siedmioosobowym składzie: – Przegrałyśmy wówczas z gospodarzami i Niemcami z RFN, a wygrałyśmy ze Szwecją i Rumunią.

Polki zajęły na tych mistrzostwach szóste miejsce, a o Indze Krause sprawozdawcy pisali, że była podporą polskiej ekipy.



Inga Krawiec w koszulce reprezentacji Polski wystąpiła 48 razy.

Krausowie, od zawsze związani z Gogolinem, to w ogóle była usportowiona rodzina. Sportowcem był ojciec Ingi, August. Mama była szwagierką Ryszarda Blauta, trenera piłkarskiego Włókniarza Otmęt i ojca słynnych piłkarzy Bernarda i Zygryda. Mama Blautowa, czyli ciocia Ingi, organizowała piłkarskie turnieje popularnych wówczas „dzikich drużyn”. Sporo młodziaków pod jej opieką wyrosło na porządnych ludzi. Bo sport to nie tylko sprawność fizyczna, sport kształtuje charaktery. To wujek Ryszard namówił do niego Inge.

Z Bernardem i Zygą Blautami byli jak rodzeństwo, wychowywali się razem. Chłopcy byli młodszy i bardzo zapatrzony w kuzynkę i jej sportowe sukcesy.

- Byli moimi najwierniejszymi kibicami - wspomina dziś pani Inga. - Za bajtla chodzili na wszystkie moje mecze.

No a potem drogi się trochę rozeszły, przyszła dorosłość, w 1959 roku Inga poznała Józefa Krawca, mistrza Opolszczyzny w boksie. Poznali się dzięki sportowi i to małżeństwo, rodzina, jest tym, co pani Inga sportowi zawdzięcza najbardziej. W 1960 roku urodził się im pierwszy syn Bernard, dziś znany opolski chirurg onkolog. Zrezygnowała wtedy z handballu, ale gdy synek miał roczek, dała się namówić na objęcie funkcji grającej trenerki w Unii Krapkowie. Mąż Józef szybko doszłusował do jej nieformalnego fanklubu.

- Był wymagającym kibicem - przyznaje pani Inga. - W Zawadzkiem grała wtedy taka Lidzia, bardzo ładna dziewczyna. Kiedyś ją w meczu skontuzjowałam, miał do mnie pretensje, że za ostro wchodzę.

Przeżyli razem z Józefem 34 lata. Chciałoby się dłużej, ale Pan Bóg miał widać inne plany. Wybudowali dom przy cichej gogolińskiej uliczce. Nie wyobrażali sobie, że ich życiowa przystań mogłaby stanąć gdzie indziej. I to wcale z niewiedzy:

- Było się tu i tam na świecie - wspomina pani Inga. - Mąż boksował w Budowlanych Opolu, potem w CWKS Legia, też liźnął trochę świata.

Wtedy sport był właściwie jedyną szansą na paszport dla skromnej dziewczyny z Gogolina. Miasteczka tak nieznaczającego na polskiej mapie sportu, że sędziowie nieraz ustawiali wyniki, żeby jakaś nieznana drużyna z Opolszczyzny nie została czasem mistrzem Polski,

W 1964 roku urodził się drugi syn, Alwin, i wtedy dała sobie z wyczynowym sportem definitywnie spokój. Odtąd dom, dzieci, rodzina to były jej życiowe priorytety.

- Całkiem możliwe, że z tego poświęcenia mam teraz chyba najlepsze dzieci na świecie - uśmiecha się pani Inga znad ulubionej porannej kawy. - Choć nie mieszkamy razem, są przy mnie na każde zawołanie, uważający i troskliwi. Kochane chłopaki.

Może i czasem i nazbyt troskliwi. Pani Inga mimo swych 87 lat sama sobie świetnie daje radę. No i co tu kryć, lubi jeszcze wsiąść na rower, co akurat niepokoi synów. Jak ktoś ją „na kole” zobaczy, to im czasem doniesie. I jest zaraz telefon: mama jeździłaś? A skąd! A synowie na to: jeździłaś, jeździłaś, widzieli cię na mieście.

Gogolin to jest miasto w sam raz do życia, nie za duże. Jak tu mieszkasz czas jakiś, a od urodzenia to już w ogóle, no to cię wszyscy znają. Anonimowy rowerowy kurs na cmentarz na grób męża i pozostałej rodziny jest właściwie niemożliwy.

A na cmentarzu coraz więcej znajomych. - Miałam kiedyś wspaniałych sąsiadów, obok mieszkali Boruccy, Sedlaczkowie, Kulawiakowie - wspomina pani Inga. - Ich już nie ma, z tamtego grona starych znajomych tylko ja zostałam. Teraz ich domy zajęli młodzi, trzeba powiedzieć, też fajni, uczynni ludzie, ale sam pan rozumie, że to już



nie to samo. Każdy patrzy na świat oczami swego pokolenia.

Wracając do synów, młodszy Alwin miał mieć na imię Armin, na cześć sportowca Armina Hary, niemieckiego sprintera, mistrza olimpijskiego, którego pani Inga wówczas podziwiała, no ale w USC odmówili. Zresztą nie pierwszy raz Inga, jeszcze jako Krause, miała problem z nazwiskiem.

- Gdy byłam w reprezentacji Polski niemiecko brzmiące nazwisko im nie pasowało, chcieli mnie przerobić na Krauzowską. Nie zgodziłam się, mój tato chyba by się w grobie przewrócił. Zginął we Francji w 1940 roku i tam leży, w Elses. Do niego jeszcze wrócimy.

Nie tylko nazwisko, imię Inga też im nie brzmiało, więc zaproponowali Marię.

- Machnęłam ręką - przyznaje pani Inga. - Zgodziłam się na tą Marię, zwłaszcza, że to jest moje drugie imię, nadane na chrzcie.

A co do ojca, miała pięć lat, ale pamięta tych panów, którzy przyszli do matki z wieścią, że ojciec zginął. Przynieśli papier z informacją gdzie leży, na którym cmentarzu i w której kwaterze. I gdy synowie na 80. urodziny zrobili jej wielki prezent: podróż na grób ojca - nie było problemów z jego odnalezieniem.

- Nie ma słów, żeby opisać to wzruszenie, gdy mogłam pomodlić się pod jego krzyżem, złożyć kwiaty, zapalić świecę. Poczuć tę nie dającą się zdefiniować bliskość. Leży tam wspólnie wraz z dwoma innymi żołnierzami...

Marzenia? Teraz już tylko takie, żeby było zdrowie i jak najwięcej wokół przyjaznych ludzi. Bo to różnie z tym dzisiaj bywa.

- Synowie przestrzegają, żebyśmy zamykała drzwi na klucz, bo zawsze jakiś złodziej może się trafić albo inny napastnik. No ale jeśli chodzi o napastnika, to ja tak sobie myślę, że mimo moich 87 lat, na pewno jeszcze bym mu uciekła...



Wszystkie drogi do Gogolina

Najmilsze wspomnienia to zwykle są te z dzieciństwa. Pamiętam tamten Kadłub, ulicę Kamienną, tam mieszkaliśmy. Dziś to ulica i dzielnica Gogolina, wtedy cicha wieś i mało uczęszczana uliczka, która służyła nam za piłkarskie boisko. Nawet specjalnie nie trzeba było przerywać tych naszych meczów. Bardziej niż na ruch samochodów trzeba było uważać na gęsi.

A potem było liceum w Gogolinie i studia na Uniwersytecie Śląskim. Studiowałem psychologię. Potem dwa lata pracy w Opolu i wyjazd do Monachium. Chciałem zobaczyć jak na Zachodzie ta psychologia wygląda w niemieckich klinikach. Tam zastał mnie stan wojenny 1981 roku. W niemieckiej telewizji sunęły czołgi po polskich ulicach, a ciotka, która oglądała to razem ze mną poradziła mi to, co i tak sam wiedziałem: Do czołgów nie ma po co wracać.

No i tak mieszkam w Niemczech już od 40 lat, czyli większość życia. Najpierw w Monachium a potem do dziś w Schwabischmuend. Tam założyłem rodzinę, doczekałem się czwórki dorosłych już dzieci. A teraz wnuków.

I wtedy w Niemczech zaczął się mój Gogolin z daleka. Po kilku latach, które z wiadomych powodów trzeba było odczekać, wracałem do Gogolina przynajmniej dwa razy w roku, a teraz nawet częściej, od kiedy jestem na emeryturze. Wcześniej do rodziców, dziś już tylko mamy, do rodziny, siostry, która w Gogolinie została. Nigdy nie straciłem kontaktu z moim heimatem z dzieciństwa.

Dlaczego wracam? Nie tylko z powodu rodzinnych więzów. Ja tu po prostu dobrze się czuję, można powiedzieć ładuję baterie. Ciągłe tu jestem jak u siebie w domu. Nawet moi niemieccy przyjaciele kiedyś mnie zagadnęli: Co cię tak ciągnie do tego Gogolina? Powiedziałem: jeźdźcie ze mną, zobaczcie. Przyjechały trzy zaprzyjaźnione rodziny. Pobyli, porozglądali się i powiedzieli: No tak, teraz cię już rozumiemy.

My już jako rodzina Jaskowiczów wypróbowaliśmy do Gogolina wszystkie drogi: autem, koleją, autobusem. Samolotem tylko nie przylecieliśmy, bo lotnisko w Kamieniu



Karol Jaskowicz zawsze chętnie wraca do Gogolina, nie tylko duchem, ale i ciałem.



Śląskim pasażerskich nie obsługuje. Poza tym wirtualnie to ja w tym swoim Gogolinie jestem właściwie codziennie. Śledzę miejscowe sprawy, kibicuję wydarzeniom i temu jak bardzo zmienia się to miasto. Budynki użyteczności publicznej, place zabaw, gdzie można spędzić czas z wnukami, to już jest europejski poziom. Gdy się spaceruje po ulicach, ogląda zwłaszcza te nowe domy, to trzeba przyznać, że niczym nie odróżniają się od niemieckich ulic, a niektóre wypasione wille to i u nas rzadko się takie spotyka.

To co różni, to przede wszystkim ludzie. U nas nie są tacy bezpośredni, Niemcy raczej trzymają dystans, mentalny i fizyczny. Moja żona Franke była w lekkim szoku gdy w kościele w ławce, w której u nas siada nie więcej niż 4 osoby tu siada osiem, a jak trzeba, to się jeszcze przesuną, by dziewięta się zmieściła. No i tu w Gogolinie łatwiej zagadnąć obcego człowieka, który zawsze nawiąże dialog.

Szkoda mi trochę tych wszystkich starych, szkolnych przyjaźni. Bo niestety znaczna część klasy tak jak ja, wyjechała. Jest taka piosenka Jacka Kaczmarskiego „Co się stało z naszą klasą”, w mojej wersji byłoby o tym, że wielu rozjechało się po Niemczech.

Teraz, na emeryturze mam więcej czasu nie tylko na przyjazdy w rodzinne strony, ale też na swoje życiowe hobby - fotografowanie. Robię to od 60 lat. Na zdjęciach zbieram wszystko co moim zdaniem jest warte utrwalenia: ludzi, krajobrazy, przyrodę. Gogolin też mam nieźle obfotografowany. Żeby się sprawdzić, brałem udział w wielu fotograficznych konkursach, często z dobrym skutkiem. Moim największym sukcesem jest wyróżnienie w konkursie Nikon Photo Contest w Japonii. To było milenijne zdjęcie mojej córki z plecakiem i małym wózkiem. Bardzo lubię też zdjęcia z Gogolina, niektóre mają wymiar mocno archiwalny. Jak to rolnika pracującego plugiem przy wapiennikach. Nie ma już człowieka, tego miejsca, nie ma takiego rolnictwa. No ale wspomnienie zostało.

W fotografii mogę o sobie powiedzieć, że jestem zaawansowanym amatorem. Tamoja pasja przeszła na syna. W fotokonkursie naszej gazety w Schwaebischmuend dwa razy już wygrał. To znaczy, że był lepszy ode mnie...



Prezes na drugim levelu

To najpierw zacznijmy może o golfie. W końcu prezes wyznaczył spotkanie na polu golfowym Karolinka w Kamieniu Śląskim. To jego ulubione miejsce, a nawet dziecko. Takie, które ma więcej ojców.

Golfem zaczął się interesować około pięćdziesiątki, czyli jeszcze na etapie prezesowania Grupie Górażdże. I tu prezes lekko westchnął, bo to było, żaden wstyd się przyznać, ponad 15 lat temu.

Sport zawsze był w sferze jego zainteresowania jako odskocznia i ratunek dla kondycji. Trzeba o nią dbać, gdy człowiek żyje ciągle na wysokich obrotach, jest w pracy 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Akumulatory owszem, wytrzymują, ale przecież wymagają doładowania. Dlatego zawsze w życiu prezesa był rower, marszobiegi, pływanie. Nigdy zamiast pracy, zawsze po. Godzina na wypocenie się pozwalała się jakoś odbudować. No i ten golf się w końcu pojawił.

W okolicy zapaleńców było więcej, w końcu mamy tu namyśli grę towarzyską.



Andrzej Balcerek chętnie dzieli się swoją wiedzą i doświadczeniem w Radzie Rozwoju Gminy Gogolin.

– Utworzyliśmy wtedy grupę akademii golfa w Krapkowicach – wspomina prezes. Tam uczyli się grać. Z czasem pojawiły się pierwsze punkty w ogólnopolskich turniejach. Ale w kraju byli wówczas znani głównie z tego, że są klubem golfowym bez własnego pola. To nie mogło tak dłużej trwać, więc w 2014 skrzyknęli się w dziesięciu zapaleńców i powstał pomysł budowy „Karolinki”. Trzeba było mieć na początku niezłą wyobraźnię, by pośród tych chaszczki, w nieprzetartym gąszczu sosen zobaczyć piękne golfowe pole, na razie dziewięciodołkowe, z domem klubowym, szatnią, restauracją, parkingami, gdzie graczom umila pojedynki szum strumyka, ubarwiają grę i podnoszą poziom adrenaliny wodne oczka, generalnie gdzie jest okazja spędzić czas na jednym z najładniejszych pól golfowych w Polsce. A za dwa lata, w 2024 prezes Balcerek zaprasza na pole osiemnastodołkowe, w ten sposób „Karolinka” będzie już polem pełnospektaklowym, poszerzona tam, gdzie dzisiaj rozciągają się



te chaszcze za drogą, czyli znowu przed nami wizja wymagająca pewnej wyobraźni. Co do golfa Andrzej Balcerk dostał bonus szczęścia, bo jego pasję podziela żona. A nie ma nic lepszego dla małżeństwa jak wspólne hobby. Nie ma wtedy problemu z planowaniem weekendu, urlopów, bo spacer z kijami stanowi małżeński consensus. Choć golf to raczej ciężki wycisk niż spacer, ale o tym potem.

Musimy wrócić o te kilka lat, gdy Andrzej Balcerk w życiowej grze przechodził na inny poziom, czyli jak to się dzisiaj mówi level. Z biznesu przez duże B, gdzie batalia idzie o wielkie stawki, gdzie praca właściwie nigdy się nie kończy, gdzie człowiek jest ciągle w rozjazdach, dziś Heidelberg, za dwa dni Wiedeń, a potem Ukraina, przyszedł czas na pożegnanie i odpowiedzenie sobie na pytanie: Co dalej? I mamy tą świadomość, że emerytura w takich okolicznościach jest dla prezesa wielkiej korporacji tym, czym dla kierowcy Formuły 1 danie po hamulcach przy wielkiej prędkości. W takich okolicznościach nie może wchodzić w grę telewizor, wygodna kanapa i ciepłe kapcie. Organizm nie zniósłby takich przeciążeń. Stąd pojawił się pomysł coachingu i mentoringu, nie tylko biznesowego. Andrzej Balcerk na emeryturze jest dzisiaj licencjonowanym couchem, dyplomantem International Coaching Community. Wiedza, doświadczenie, osobisty przykład zarządzania wielką firmą, to są wartości, które szkoda odesłać na rentę. Szkoda by było zmarnować potencjał, który może się przydać młodym, wchodzącym w świat biznesu menedżerom. I nie ma co deliberować co by było gdyby, skoro jest okazja porozmawiać z człowiekiem, który może opowiedzieć co on w podobnej sytuacji zrobił. Bez gdybania.

Gdyby tak najprościej odpowiedzieć na pytanie co jest istotą coachingu, Andrzej Balcerk stawiałby tu na zamianę problemu na cel. Jeśli masz problem, zdefiniuj go i zamień na cel, który pozwoli ci z tego problemu się oswoić. A stąd tylko krok do opracowania właściwej drogi. A rozmawiamy tu nie tylko o coachingu biznesowym, lecz szerszym, holistycznym, który dotyka różnych życiowych odniesień i wyzwań.

Coaching to tylko jedna z aktywności, które Andrzejowi Balcerkowi pozwoliły płynnie przejść na drugą stronę lustra. Jego codzienny kalendarz ciągle jest wypełniony. Inaczej niż kiedyś, ale równie mocno. Z tym, że jeśli spotkania, to raczej nie przed dziesiątą, bo poranki są dla 8-9 kilometrowego codziennego marszu, a potem prysznic i śniadanie. Jeśli mamy wtorek, to obowiązkowo podwózka wnuczki do szkoły muzycznej w Opolu. Bo rodzinne zobowiązania w kalendarzu Andrzeja Balcerka są równie ważne jak te inne, tym bardziej, że wcześniej nie było na nie tyle czasu, ile by się chciało. Teraz „pogotowie dziadkowe” działa jak w zegarku.. A obok są okienka na pracę w kilku fundacjach: Góry Św. Anny, Filharmonii Opolskiej. No i dochodzi do tego przewodniczenie Radzie Rozwoju Gminy Gogolin.

- Zawsze zadawałem sobie pytanie czym właściwie jest zarządzanie - mówi Andrzej Balcerk. - Dla mnie zarządzanie to komunikowanie się z ludźmi. I dalej to robię, choć rzecz jasna jest to już inny poziom komunikacji niż kiedyś, ale jednak co do istoty, podobny. Dzięki temu nigdy nie pomyślałem o sobie, że coś się w moim życiu skończyło, że jestem na boku. Zawsze myślę do przodu, że coś nowego się zaczęło, a ja czuję się ciągle potrzebny.



- Pełnia życia? Ja myślę, że ona była wtedy, gdy zajmowałem się wielkim biznesem. Stawka była po prostu inna. Dziś to jest jednak coś innego, nie znaczy – gorszego. To coś innego, to też Rada Rozwoju Gminy Gogolin, której Andrzej Balcerek przewodniczy. Rada to pomysł burmistrza Joachima Wojtali, ciało doradcze, złożone z otwartych ludzi różnych profesji, z którą burmistrz konsultuje swoje pomysły na rozwój miasta i gminy. Przez ostatnie lata Rada opiniowała powstanie osiedla Dębowe, które już rośnie jak grzyby po deszczu. Gmina ma się rozwijać w sposób zrównoważony. Gogolin zawsze kojarzył się z ośrodkiem kultury ludowej, właśnie z Karolinką, która tu szła i doszła, z pieśnią i muzyką. I to dobrze, ale niewystarczająco. Dziś wokół Gogolina rozwija się strefa gospodarcza, wyrosło wiele nowych firm.

- Myślę - przyznaje przewodniczący Rady Andrzej Balcerek - że pan burmistrz trochę nas słuchał, gdy podpowiadaliśmy, że aby mieć pieniądze na kulturę, ochronę zdrowia, oświatę, to trzeba je zarobić w formie podatku, a te płacą ci, którzy funkcjonują w biznesie. I tego biznesu w Gogolinie w ostatnich latach pojawiło się bardzo dużo.

- Konsultowaliśmy jak poukładać miejscową służbę zdrowia. Dzisiaj myślę, że Gogolin nie ma się tutaj czego wstydić. Gmina nieźle poukładała też oświatę i my jako Rada braliśmy w tym czynny udział.

Gogolin ma świetne położenie, gminę przecinają autostrada i ważny szlak kolejowy. To przyciągało biznes - referuje przewodniczący Balcerek - i nagle miasto zaczęło się komunikacyjnie dusić. Dlatego pomysł przejścia podziemnego, które pozwoli udrożnić miasto i zlikwidować kolejowe szlabany. Dlatego projekt budowy tzw. mostu południowego przez Odrę, który komunikacyjnie odciąży i Gogolin i Krapkowice.

Rada radą, ale Andrzej Balcerek nie ukrywa, że bardzo sobie też ceni nieformalne telefony od burmistrza, w rodzaju: wpadnij, bo miałbym do pogadania.

Andrzej Balcerek robi to wszystko również dla siebie. Bo Gogolin to jest jego miejsce na Ziemi. I fajne miejsce do życia.

A wracając do golfa, w weekend na „Karolince” bywają tłumy. Nie wszyscy grają, choć Opolski Klub Golfowy jest jak najbardziej otwarty, absolutnie nieelitarny. Dziecięcym grupom sponsorzy fundują trenera, czyli darmową szkółkę. Każdy tu może przyjechać i grać, cały sprzęt wypożyczyć na miejscu, przymierzyć się do kija. Albo po prostu wypić kawę lub piwo na restauracyjnym tarasie w pięknych okolicznościach przyrody.

I myli się ten, kto myśli, że golf to jest sport lajtowy. Wręcz przeciwnie, wymaga żelaznej kondycji. Dziewięciodołkowy tour to około 200 zamachów plus kilka kilometrów do przejścia. Jak to w życiu, wszystko wydaje się łatwe, dopóki się nie spróbuje..



Bo ja mam tylko nazwisko niemieckie

W Drohobyczu mieliśmy swój dom. Pracowałam tam w ZUS-ie jako urzędniczka. Męża poznałam z powodu... chleba. Jeszcze za niemieckiej okupacji, bo u nas była najpierw rosyjska potem niemiecka i znowu rosyjska. Za Niemca, każdemu urzędnikowi przysługiwał przydział chleba. Mnie, jako pannie, jeden bochenek. Ale mojej koleżance z pracy przysługiwały aż cztery ze względu na dużą rodzinę. No i nie miała jak z tym pieczywem zabrać się do domu, więc ofiarowałam się z pomocą. Odniosłam z nią ten chleb. Drzwi otworzył jej brat, Józek. Zaiskrzyło między nami w tych drzwiach, miłość od pierwszego wejrzenia.

Ślub wzięliśmy w Drohobyczu w 1943 roku. Wyszło na to, że ten przydziałowy chleb i ta moja spolegliwość odmieniły moje życie.

W 1944 wrócili Rosjanie. I od razu tak się zachowywali, jakby byli u siebie. Dla nas było jasne, że dla nich Drohobycz to już jest Sowietcki Sojuz. My, Polacy zaczęliśmy się powoli rozglądać za Polską, choć tam jeszcze Niemiec siedział. Jakoś tak niedługo po wprowadzeniu sowieckich porządków z dnia na dzień wywieźli naszych mężczyzn. To było straszne, nie do opisanie. Zabrali mi męża. I jak kamień w wodę,



Władysława Wolf w 2021 roku świętowała swoje setne urodziny.

nikt nie potrafił powiedzieć gdzie. Po prostu ślad po nim zaginął, a ja zostałam sama, młoda mężatka z dzieckiem. No nie do końca sama, bo w otoczeniu rodziny, mamy, babci, siostry. Ojca tylko straciłam jako dziecko, gdy miałam 7 lat.

W 1946 postanowiliśmy wyjechać do Polski. Wiadomo było, że na Ziemi Odzyskanej, tak się wtedy o nich mówiło. Bo tam czekały na nas puste domy.

Do Gogolina trafiliśmy za sprawą Tadzika Młynarskiego, szwagra mojego męża. Oni tu osiedlili się pierwsi i namówili nas na ten Gogolin. Wiadomo, że jak człowiek jedzie w nieznaną, to przecież raźniej mu przy rodzinie. Gogolin to była wtedy wieś. O tu wszędzie wokół dzisiejszego naszego domu na Szkolnej stał jeszcze dom sąsiadów a wokół same pola. Ale wtedy, na początku zajęliśmy inny, pusty dom, przy dzisiejszej ulicy Wyzwolenia. Tyle, że nie minęło wiele czasu jak wrócił z wojennej tułaczki jego właściciel. I trzeba się było wynieść. Wprowadziliśmy się wtedy tu, na parter, do domu zajętego przez rodzinę Tadzików.

Szybko trzeba było szukać jakiejś pracy, utrzymać rodzinę, dziecko. Najpierw pracowałam w Gogolinie na kolei. Traf chciał, że moja siostra Marysia na schodach pociągu do Opolą trafiła na mojego dyrektora z czasów drohobyckich, pana Fikusa. Wtedy w pociągach był taki tłok, że często jeżdżono się na schodach. Dyrektor Fikus, a to był przedwojenny dżentelmen, na tych schodach Marysię asekurował, żeby nie spadła. A przy okazji skojarzył. I spytał, czy czasem nie jest moją siostrą, swojej dawnej pracownicy. I zapytał, czy ma kontakt ze mną. On wtedy organizował oddział ZUS w Opolu. Jak się dowiedział, że jestem cała, zdrowa i mieszkam całkiem blisko, natychmiast kazał przyjechać do pracy. I tak mi w tym opolskim ZUS-ie zeszło do 1991 roku. Miałam 70 lat, czyli grubo po wieku emerytalnym, gdy się pożegnałam ze swoim biurem.

Na początku Gogolin to była dla mnie niezła egzotyka. Wszystko tu było inne niż w Drohobyczu. Kompletnie nie rozumiałam po śląsku, o niemieckim nie wspominając. A tu zaraz po wojnie właściwie nikt inaczej nie mówił. Jeszcze za czasów szkolnych miałam wybór: język niemiecki albo francuski i ja wybrałam ten drugi. Nigdy w życiu mi się ten francuski nie przydał, za to niemiecki, i owszem. Dla miejscowych byłam Frau Wolf. Nikt nie chciał uwierzyć, że nie jestem Niemką. Owszem, wszyscy podejrzewali, że z takim nazwiskiem jestem nią na pewno, tylko czasy były trudne, powojenne i lepiej się było nie przyznawać do niemieckości. A ja naprawdę jestem Polka z dziada pradziada, zresztą mój mąż Józef, którego mam nazwisko, również.

Rzecz w tym, że w 1944, jeszcze w Drohobyczu, Rosjanie też uznali go po tym nazwisku za Niemca. I wywieźli na roboty za Ural. Ale o tym gdzie był, dowiedzieliśmy się, gdy do nas wrócił. Jak go zwolnili, najpierw nas szukał w Drohobyczu, a tam od matki szwagra, która powiedziała, że jest za stara żeby się stamtąd ruszać,, dowiedział się, gdzie jesteście. Ona dała mu nasz gogoliński adres, a on nam znać, że już do nas jedzie.

Tu w Gogolinie akurat nazwisko Wolf wzbudzało zaufanie. Tu w domu to ja nieformalne biuro ZUS miałam. Taki punkt pomocy u Frau Wolf. Ludzie tak go nazywali i przychodzili, żeby dowiedzieć się co z ich emeryturami, stażem pracy. A znaków zapytania, niepewności była cała masa. Bo ludzie dotąd mieli przecież emerytury niemieckie, staż pracy w wapiennikach – niemiecki. Ale Niemiec już tu nie było, przyszła Polska. Każdy zadawał sobie pytanie – co dalej? Mało kto dzisiaj pamięta, że polski ZUS ten ich staż pracy, emerytalne uprawnienia honorował. Miejscowi mieli



wówczas niemieckie książeczki pracy i to była podstawa do rozmowy o emerytalnych uprawnieniach, latach zatrudnienia. Nie mogło być inaczej, skoro to byli teraz obywatele polscy. No ale problemów w tym okresie przejściowym, między Niemcami a Polską było co niemiara. Więc najpierw przychodzili do mnie a ja wyjaśniałam, podpowiadałam, informowałam jakie i gdzie muszą okazać dokumenty i dopiero potem z tym wszystkim jeździli do ZUS do Opoli.

Dziesięć lat się przed emeryturą broniłam, ale czasu człowiek nie oszuka. W lipcu ubiegłego roku obchodziliśmy hucznie moje setne urodziny. Wszystkich moich dawnych znajomych już nie ma na tym świecie. Najpierw na tej emeryturze często spotykaliśmy się z koleżankami z pracy, w Opolu na plotkach, kawce i lodach, a z czasem było nas coraz mniej...

Gdy mnie ludzie pytają o przepis na długie życie, to zawsze odpowiadam, że spokój, uczciwość, bez wygłupów, tak, żeby rano zawsze można było na siebie spojrzeć w lustro. Nikomu nie zazdrościć niczego. Dobrze trzeba żyć po prostu.

Z marzeń w moim wieku pozostaje już tylko to o zdrowiu dla siebie i rodziny. No i mam jeszcze takie chyba nie do spełnienia, żeby lepiej widzieć, bym spokojnie mogła patrzeć na świat przez okno. I oby do wiosny.

Mówiąc szczerze sto lat, to już nie jest wiek na wielkie marzenia.



Warto pomagać

Dzieci ostatnio zwróciły mu uwagę, że w rodzinie jest jedynym, który nigdy nie zmienił adresu, a wszystkim doradza co zrobić, żeby znaleźć się w świecie. No cóż, tak się życie ułożyło.

Coś jednak w nim zmienia, rok temu postanowił całkiem przewrócić do góry nogami swoje zawodowe życie, zrezygnował z pracy w opolskiej Nutricii, gdzie był członkiem kadry zarządzającej i szefem produkcji, by zająć się własną pasieką. Teraz czas poświęca swoim stu pszczelim rodzinom, zajmuje się też wsparciem i doradztwem dla tych, którzy w pszczelarstwie zaczynają. Czterdziestoletnie doświadczenie pracy przy ulach z hobby stało się w ten sposób jego profesją.

– Pierwsza rada dla tych, którzy chcą się zająć pszczołami: najlepiej znaleźć sobie w okolicy pszczelarza – mentora – radzi pan Bernard. – Warto się przy nim przyjrzeć jak pszczoła rodzina funkcjonuje przez cały rok, żeby mieć pojęcie. Po roku człowiek już będzie wiedział, czy chce to robić, czy nie. Bo pszczelarz musi być przynajmniej tak dobrze zorganizowany jak jego podopieczne.

– Na przykład w pojedynkę – opowiada pan Bernard – pszczoła nie ma żadnych szans. W rodzinie wzajemnie się wspierają, dzielą wszystkim, co mają i dzięki temu są w stanie przeżyć sytuacje, w których same nie przetrwałyby kilku godzin.

Każda pszczoła ma swoje miejsce i rolę. Krótko żyją, więc muszą szybko wymieniać pokolenia. Pszczoła gdy się wykluje, zaczyna od sprząwania, najpierw swojej komórki, z której wyszła, potem trochę dalej, aż dochodzi do tego, że sprząta cały ul. Potem karmi larwy, pilnuje ula, przygotowuje się do pierwszego lotu. W końcu znosi pyłek i za którymś tam razem po prostu nie wraca. Cała ta życiowa aktywność latem zajmuje jej około 3 tygodni. Poza sezonem może przeżyć do 8 miesięcy, zbierając siły na wiosnę. Widać stąd, że w sezonie po prostu robotnica umiera z przeciążenia.



Bernard Mróz otwartość na pomaganie innym wyniósł z rodzinnego domu.



O pszczołach pan Bernard może opowiadać w nieskończoność, skąd się biorą królowe, jak je robotnice w końcu detronizują i się ich pozbywają, podobnie jak trutni tylko o wiele rzadziej.

Wróćmy jednak do adresu, który w przypadku pana Bernarda wciąż jest ten sam. – Ten dom wybudował w Gogolinie mój dziadek, w latach trzydziestych, ubiegłego wieku – opowiada pan Bernard. – Rodzina dorobiła się na kowalstwie i po przeprowadzce do Gogolina na początku XX wieku kupiła tu sporo ziemi i zajęła się gospodarstwem. Dziadek założył też małą firmę przewozową i świadczył usługi dla Zakładów Wapienniczych. Potem przyszła wojna, dziadka wcielili do Wehrmachtu, a po wszystkim wrócił schorowany z sowieckiej niewoli i wkrótce zmarł.

Jak w wielu innych rodzinach wówczas utrzymaniem domu zajmowały się kobiety. – Nasz jest na tyle duży, że szybko dokwaterowali nam rodzinę repatriantów zza Buga. Mój ojciec Antoni bardzo się skolegował z ich synem Tadekiem, do tego stopnia, że przez wiele lat jeszcze utrzymywali ze sobą kontakty. Tadek wyemigrował do USA, ale kiedyś będąc w Polsce odwiedził ojca. To było dla nich, ale i dla wszystkich nas w rodzinie, wielkie przeżycie.

Ta historia ma jeszcze jeden fascynujący wątek. Dziadek „ich” przesiedleńców w poszukiwaniu bliskich przyjechał do Prudnika i piechotą zmierzał w kierunku Opola, bo wiedział tylko tyle, że jego rodzina osiadła gdzieś w tej okolicy. Przypadkiem szedł przez Gogolin i poznał wnuka dokazującego z innymi dziećmi przed domem. No i tak się odnaleźli.

Dwie dekady później Gogolin z lat dzieciństwa pana Bernarda różnił się od obecnego bardzo, ale najbardziej chyba tym, że wszędzie biegało mnóstwo dzieciaków. – Prawie każda ulica miała wtedy swoją piłkarską drużynę, rozgrywaliśmy nieformalne podwórkowe turnieje. My z Krapkowickiej najbardziej rywalizowaliśmy z ekipą z Leśnej.

„Łączy nas piłka”, to hasło znane w Gogolinie od lat. Potem turnieje przeradzały się w przyjaźnie i w inne niż ball sposoby wspólnego spędzania czasu.

– Byliśmy młodzi, ciekawi świata, który wtedy mógł się ograniczać tylko do Polski – opowiada pan Bernard. – Zorganizowaliśmy koło PTTK, jeździliśmy z ekipą w góry, fajnie było.

A potem nadeszła wielka emigracja za Gierka i prawie wszyscy się rozjechali po Niemczech. Część całkiem zniknęła, część kumpelki pojawiała się okazjonalnie, lecz stare młodzieńcze więzi już nie wróciły.

A z Radą Rozwoju Gminy Gogolin było tak:

– Kiedyś, przy jakimś spotkaniu, burmistrz Wojtala podzielił się taką refleksją, że nie jest mu łatwo zebrać opinie o swojej pracy – opowiada Bernard Mróz. – Bo jak się zwróci do podwładnych, to mu zawsze mówią, że wszystko jest dobrze, a gdy do adwersarzy – że wszystko jest źle. I ja wtedy mu zasugerowałem, weź Achim, zbierz ludzi, na zdaniu których ci zależy. W takiej sytuacji jego propozycji uczestnictwa w tej grupie wręcz nie wypadło mi odmówić.

Od tamtej pory Rada spotyka się kilka razy w roku, Burmistrz i jego urzędnicy wyjawiają jakie mają plany, co już udało się zrobić od poprzednich konsultacji.

– Nasza rada – podkreśla Bernard Mróz – nie ma żadnej mocy sprawczej. Dzielimy się z burmistrzem jedynie sugestiami, opiniami, które może wziąć pod uwagę. To są spotkania w blokach tematycznych: oświata, sport, mieszkalnictwo i wszyst-

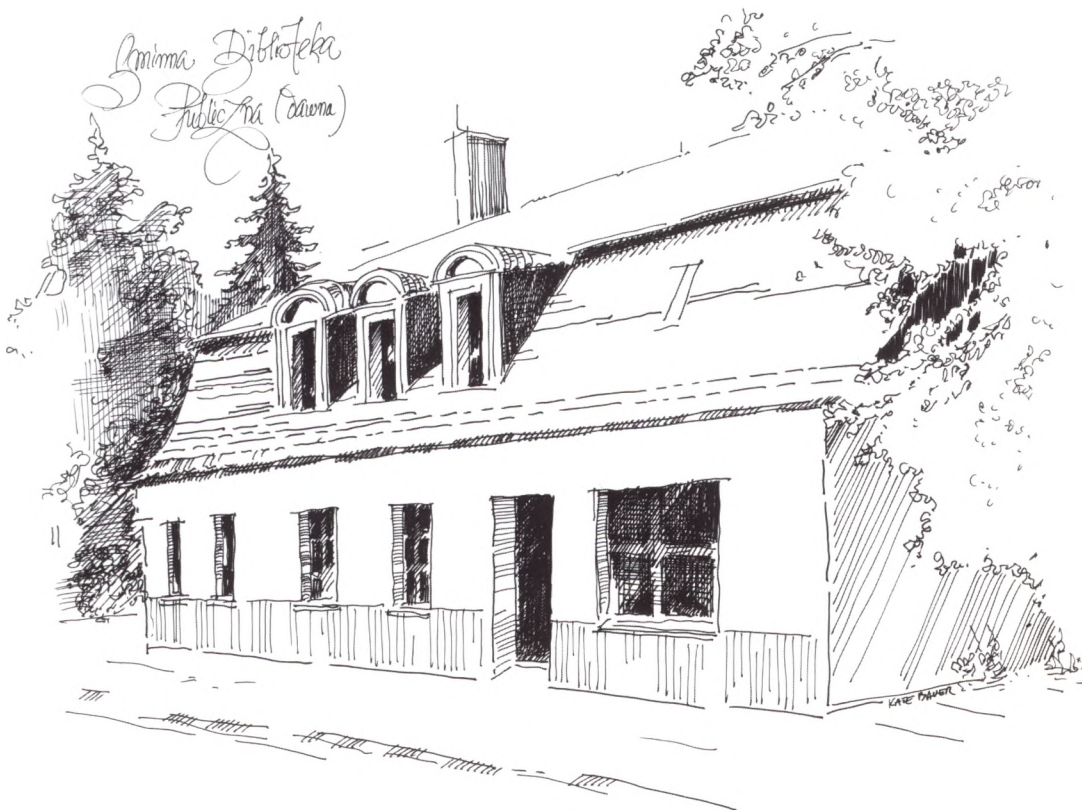


kie inne aktywności samorządu. Spotykamy się zwykle w gronie kilkunastu osób, a szefuje nam Andrzej Balcerek.

Pan Bernard nie ogranicza swojej aktywności tylko do Gogolina. Namówiony przez córkę udziela się w samopomocowej grupie, która chce wybudować dom dla osób niepełnosprawnych intelektualnie w Opolu, w ramach ogólnoeuropejskiej fundacji Arka Jeana Vanier.

– Gdy byłem dzieckiem- wspomina pan Bernard – rodzice ciągle mi powtarzali: Rozglądaj się wokół, czy ktoś nie potrzebuje twojej pomocy.

No i najwyraźniej weszło mu to w krew. Naprawdę powinniśmy się uczyć od pszczoł.



Pracę trzeba lubić

W życiu ważny jest plan – uważa Ginter Maicher, dyrektor zakładów B+K Polska w Walcach, producenta opakowań przemysłowych, które trafiają stąd, z małej wiejskiej gminy, na rynki całego świata. Wygląda na to, że ta konstatacja jest też życiowym credo ich szefa, choć przecież nie jedynym. Gdy myśli się do przodu, lawinowo rośnie prawdopodobieństwo, że życie człowieka nie zaskoczy. Dlatego Ginter Maicher ma już nawet plan, co będzie robił na emeryturze, choć to dopiero, albo i już, pieśń, która wybrzmi za 3 lata. Nie wszystko jest do ujawnienia, ale to, że znajdzie się więcej czasu do nadrobienia zaległości w rodzinnych relacjach, na częstsze wyjazdy z żoną po Polsce, by wpaść na kilka dni do Krakowa, Karpacza, odwiedzić macierzystą jednostkę wojskową w Kłodzku, a przy okazji samo miasto – to już tak. Te ostatnie odwiedziny wielu mogą się wydawać szczególnie niestandardowe, ale nie w wypadku dyrektora Maichera. Bo akurat wojsku zawdzięcza w jakimś stopniu początki swej zawodowej kariery.

Wojsko po prostu dobrze mu się kojarzy. Do tego stopnia, że gdy po odświeżeniu roku jako młody inżynier trafił do pracy w Krapkowickich Zakładach Papierniczych, przyszedł za nim list pochwalny z jednostki, w którym dowódca informował nowe jego zwierzchnictwo o wyjątkowych zdolnościach organizacyjnych Gintera Maichera i talencie do kierowania zespołem.

To pismo polecająco-pochwalne zwróciło uwagę dyrekcji na młodego inżyniera i pozwoliło mu się wyróżnić z grona innych młodych inżynierów, którzy zasilili branżę papierniczą w Krapkowicach. Wojsko pomogło mu więc w karierze.

– W armii mi się podobało – przyznaje Ginter Maicher – i pewnie zostałem zawodowym żołnierzem, gdyby nie tamten ustrój, którego jako wojskowy musiałbym przysiąc bronić.

No i tym sposobem trafił na dobre do przemysłu. List polecający zapewne sprawił, że krótko potem został kierownikiem wydziału elektrociepłowni, potem



Ginter Maicher odwiedza kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gogolinie także poza mszą, by się wyciszyć.

mechanicznego, energetycznego a na końcu dyrektorem działu maszyn papierniczych, celulozowni i workowni. Tam zaczęła się jego zawodowa przygoda z branżą opakowań przemysłowych, podpartą kierunkowymi dodatkowymi studiami zaocznymi.

Trafił do Walec, gdy jego dział w krapkowickiej papierni szedł do likwidacji a Zakłady Papiernicze zaczęły się koncentrować na produkcji papierów higienicznych. I szefuje już tu od 22 lat. Wydawałoby się, że o opakowaniach przemysłowych nic frapującego nie da się opowiedzieć, chyba że trafi się na takiego specja jak dyrektor Maicher:

Bez opakowań ludzkość cofnęłaby się o kilka wieków - uważa. - Opakowania służą nie tylko sortowaniu ale i oszczędności towaru. Chronią, ułatwiają transport i dystrybucję, informują, wydłużają życie produktu. Przy czym folie, takie jak wytwarza się w Walecach, dla niektórych z nich są najlepszym rozwiązaniem. Dziś jeśli folia ma przepuszczać promienie słoneczne, robi się taką, żeby przepuszczała; ma zatrzymywać - taką, żeby zatrzymywała. Coraz częściej jest biodegradowalna, czyli mało uciążliwa dla środowiska. Coraz doskonalsze są też systemy jej recyklingu, by można ją było zgranulować i odtworzyć.

- W opakowaniach foliowych - przyznaje dyr. Maicher - jesteśmy na etapie rewolucji, takiej jak byliśmy 40 lat temu z papierowymi. - Wtedy zaczęto na wielką skalę zbierać makulaturę, dzisiaj zbieramy „folioturę”, bo innej niż recykling sensownej drogi nie ma.

Gdy pod koniec lat 70-tych wyjeżdżał na studia do Gliwic, nigdy nie myślał, że do Walec jeszcze wróci. Można powiedzieć, że i ten plan się częściowo ziszczył, bo nigdy potem już tu nie mieszkał, choć oczywiście łączyły go z tym miejscem rodzice, dom rodzinny, a od 22 lat łączy również praca. Dziś poza nią jego miejscem na ziemi jest jednak Gogolin.

- 20 lat mieszkaliśmy w bloku na czwartym piętrze w Krapkowicach. Mnie ze względu na zawodowe obowiązki długo to nie przeszkadzało, bo i tak zbyt często w domu nie bywałem - przyznaje Ginter Maicher. - Ale zawsze z tyłu głowy to miałem, że przecież jestem ze wsi i warto by wrócić na swoje. Z latami ta potrzeba rosła - by na starość mieć swoje miejsce, swój skrawek zieleni. Dwadzieścia lat temu z żoną postanowiliśmy wynieść się z blokowiska. Żona miała za zadanie znalezienie odpowiedniej działki pod dom i wywiązała się z tego wspaniale. Od prawie 20 lat mieszkamy w Gogolinie, w uroczym, cichym zakątku obok starego cmentarza żydowskiego, który przypomina bardziej park. Cisza, spokój, śpiew ptaków, bo całą okolicę „obudkowałem”. To jest dziś nasze miejsce i nigdzie stąd się już nie ruszamy. Bo Gogolin to miejscówka w sam raz dla nas, Miasto jest zadbane, urokliwe, nie ma tu wielkomiejskiego harmidru. No i ważne, że świetnie skomunikowane, więc gdy mamy potrzebę zacerpnąć atrakcji wielkiego miasta, wystarczy wsiąść w pociąg albo wjechać na autostradę.

W Gogolinie Ginter Maicher ma swoje ulubione miejsca. Jednym z najważniejszych jest kościół Najświętszego Serca Jezusowego. - Dla mnie - opowiada - takie miejsca dzielą się na te, które mają coś w sobie albo nie. Nasz kościół gogoliński przeszywają te niedookreślone fluidy, przez które lubię tu być nie tylko na mszy, posiedzieć wyciszyć się, pomedytować. Lubię też spacerować po Gogolinie, tych moich codziennych 10 kilometrów w nogach prowadzi głównie przez miasto i okolice. Zawsze z okazji moich urodzin wybieram się piechotą na Górę Św. Anny. Podziękować za jej pośrednictwem za to, co już w życiu dostałem i co jeszcze dobrego mnie czeka. No a przy okazji robię test, czy z sześćdziesiątką na karku jeszcze daję radę. W chwilach wolnych organizujemy z żoną wyjazdy do kina konesera, teatru,



filharmonii do Opola, Zabrza, Wrocławia. Na telewizję szkoda mi czasu.

Spacery to element codziennych rytuałów, zawsze wieczorem, po pracy. A przed, rano o szóstej basen, w ciągu dnia regularnie 1,5 godziny roweru, dodatkowo w każdy weekend wejście na Kopę Biskupią. Na rowerze jego rekord życiowy to 300 kilometrów pokonane w ciągu jednego dnia. Zamierza go jeszcze przynajmniej powtórzyć. Ale to już pewnie za trzy lata, na emeryturze.

A na razie jest praca, wysokie obroty, no i aktywność fizyczna, bez której pewnie trudno by było to wszystko sensownie pospinać. Każdy pracownik B+K wie, że szef jest w zakładzie świątek- piątek, na chwilę zagląda nawet w każdą sobotę i niedzielę. Bo ma takie przekonanie, że jeśli szef jest w pracy również w dni wolne, stymulująco wpływa to na załogę.

Pracę- uważa- trzeba lubić. Różnie to bywa u innych, ale on, bez tego nie potrafiłby w zawodzie funkcjonować.

- Trochę martwię się o pokolenie młodych adeptów - przyznaje. - Przychodzą do pracy i pierwsze, o co pytają, to są zarobki. Owszem, pieniądze są ważne, ale u mnie zawsze były na drugim miejscu. Chłopie, jak przychodzisz do pracy, zacznij od pytania na jaką ścieżkę kariery możesz liczyć, jakie są wobec ciebie oczekiwania, jakie wiążemy z tobą nadzieje i wtedy rozmawiamy o pieniądzach.

B+K w Walcach się rozbudowuje, obok powstaje właściwie druga taka fabryka. - Czasy łatwe nie są - mówi dyr. Maicher. - W tej, jak w każdej branży, liczą się plany, a dziś w dobie kryzysu energetycznego, rosnących cen do końca trudno cokolwiek przewidzieć.

A co jest w firmie najważniejsze? Dyr. Ginter Maicher nie ma wątpliwości: Najważniejsi są pracownicy. Maszynę nie dziś, to jutro można kupić. A pracownika nie tak łatwo zastąpić.

I tego jako menedżer się trzyma.



Kinder, Kuchen, Kirche

– Na te moje 82 wiosny, tylko dziesięć w Gogolinie mnie nie było, dwa lata w wojsku i osiem pracy na Zachodzie – liczy pan Józef, a właściwie Wilibald. Część starych znajomych do dziś tak go nazywa.

Urodził się w 1940, dziecko wojny.

– O takich jak ja kiedyś mówili: sieroty po Hitlerze – wspomina. No i rzeczywiście, wielu z jego pokolenia zostało wtedy sierotami. Jego ojciec zginął na wschodnim froncie, pod Przemyślem w 1941 roku.

Kinder

– Z wojny siłą rzeczy niewiele pamiętam, nieliczne przebłyski – mówi pan Józef. – Matka i dziadkowie opowiadali mi potem jak było, no starsi koledzy również.

Wojna dotarła do Gogolina późno, bo właściwie 23 stycznia 1945 roku wraz z rosyjskim frontem. – Wszyscy się spodziewali, że Rus przyjdzie drogą od Strzelc, a on nadciągnął od Kamienia Śląskiego. W Strzelcach młodzi synkowie z Hitlerjugend stawili Rosjanom opór, zastrzelili nawet jakiegoś znacznego oficera, więc by nie tracić czasu, część Rosjan ominęła Strzelce kierując się na Kamień. Rosyjskie czołgi z drogi kamienieckiej zatrzymały się na rogatek Gogolina i oddały trzy strzały, wszystkie w okolice kościoła. Czekali na odpowiedź. Ale żadnej odpowiedzi nie było, więc zajęli miasto zaczaił się na drodze strzeleckiej. Jakby wiedzieli, że niemieckie wojsko ze Strzelc będzie tędy uciekać. No i rzeczywiście, pierwsze nadjechały trzy sanitarki pełne żołnierzy. Z cekaemu od razu skosili trzynastu z rękami do góry.

Zmarłych trzeba było pochować. Na ulicy Kozielskiej był przygotowany rów, stanowisko na działo przeciwlotnicze, które nie zdążyło tutaj przed frontem. W tym rowie chłopcy pochowali zabitych. Piętnastolatki chowali, bo wtedy w Gogolinie byli tylko: kobiety, dzieci, a z mężczyzn wyłącznie starcy. Po trzech latach tę trzynastkę ekshumowano na gogoliński cmentarz. A po półwieczu z hakiem z inicjatywy Józefa Jelito w miejscu ich rozstrzelania stanął krzyż ze stosowną transkrypcją.



Józef Jelito od lat zapisuje swoje refleksje na kamieniach, które układa w przydomowym ogrodzie.



Jest jeden przebłysk z wojny, który zapamiętał: Ciemne pomieszczenie, a w nim lamentujące kobiety i płacz podszczypanych przez matki dzieci. Co to było, dowiedział się po latach od rodzicielki: Gdy Rosjanie zaczęli grasować po Gogolinie, strzelać gwałcić i rabować co się nawinęło pod rękę, kobiety, w tym jego matka i dziadkami schowali się z innymi do piwnicy. Gdy weszło tam dwóch Rosjan, babka przytomnie poczęstowała ich składowanym tam winem. Jeden wypił i wyszedł, drugi pił dalej na umór, a jak skończył, obtarł usta rękawem munduru i powiedział: A tiepier wsie na razstrietku.

Zaczął się płacz, by zmiekczyć serce prześladowcy a jeden z sąsiadów, który to usłyszał, wymknął się na zewnątrz szukać pomocy. Jak raz natknął się na dwóch rosyjskich oficerów: Towariszchi, krzyknął, tam jeden z waszych kobiety z dziećmi chce zabijać! Jeden z oficerów zszedł do piwnicy i zabrał ze sobą żołnierza. Kto wie, czy gdyby nie przytomność sąsiada i dobry dzień rosyjskiego oficera, byłoby teraz o kim pisać.

Po wojnie w Gogolinie po polsku rozumieli co nieco jedynie starziki. W tym dziadkowie Józefa Jelito. Oprócz niemieckiego, znali śląską gwarę a dziadek Ludwik radził sobie też z czystą polszczyzną, a to za sprawą napisanych po polsku „Żywotów śląskich świętych”, w których się zaczytywał jeszcze przed wojną. Mówiąc szczerze najszybciej z polskim radziły sobie dzieci, dogadując się w zabawie z polskimi rówieśnikami, którzy coraz liczniej towarzyszyli im na gogolińskich podwórkach. Najgorzej mieli ci, jak starszy brat pana Józefa, którzy od razu poszli do polskiej szkoły. Dzisiaj taki sam problem mają młodzi Ukraińcy którzy nie znając polskiego trafili do polskiej szkoły

– Ja – wspomina pan Józef – szedłem do szkoły dwa lata po wojnie. Polskiego uczyłem się od kolegów z podwórka, a i tak na lekcjach było ciężko. Część nauczycieli, a wszyscy przyjechali z centralnej Polski, rozumiała sytuację, część się na nas za te niemieckie naleciałości wyżywała. Bo ludzie wszędzie tacy są: jedni dobrzy i empatyczni, inni źli i złośliwi.

A gdy przyszło do kartek żywnościowych matka dowiedziała się, że na trojga imion Wilibalda, Horsta Wolfganga jak i dla starszego syna Kale żadne kartki nie przysługują, zanim nie zmieni im imion na jakieś polskie.

– No to matka się zawinęła, rzucając na odchodnym, że nigdy w życiu – mówi pan Józef. – Wróciła do domu z pustymi rękoma, a przecież jeść trzeba, więc do urzędu poszła nasza babcia i powiedziała: No dobrze, od dziś Wilibald będzie Józefem a Kale – Karolem.

W domowym archiwum Józef Jelito do dziś przechowuje urzędowe pismo z USC, datowane ma marzec 1948 roku, które sankcjonuje zmianę imion a oprócz tego skreślenie z nazwiska Jelitto jednego „t”.

Kuchen

– Po wojnie właściwie wychowywała nas babcia - wspomina pan Józef. – Matka, żeby zarobić na dom pracowała w pobliskich kamieniołomach. Wychodziła do roboty o piątej rano, wracała ledwo żywa o piątej po południu. Co tu kryć, dla kobiety to była niewolnicza praca, ale wtedy dla mojej matki, „tej Niemki”, innej pracy w okolicy nie było. Babcia z kolei chodziła pomagać w gospodarstwach, przy żniwach, sianokosach, wykopkach, żeby więcej tego grosza było. A my jako bajtle pomagaliśmy jak umieliśmy,



zbierając przydrożne czereśnie dzierzawione przez spółdzielnie z Urzędu Gminy. Mało kto pamięta, że Gogolin i najbliższe okolice to był rejon wielkiego przemysłu. W Gogolinie funkcjonowało 39 wapienników, Otmęt zatrudniał tysiące ludzi, podobnie koksownia Zdzeszowice. Zaczęli tu się zjeżdżać za pracą ludzie z całej zrujnowanej po wojnie Polski. Przemysł wiadomo, pracował na węglu. Gogolińska bocznica stała się ważną bazą przetadunkową, a dla rodzin takich jak Jelitów, okazją do dorobienia przy rozładunku wagonów.

– Jak się to wszystko zebrało do kupy: kamieniołom, pracę na roli, węglowe wahadła, czereśnie i hodowane przy domu kozy oraz drób, dało się z tego przeżyć – przyznaje pan Józef. – Głodu w domu nie było.

Kirche

– Za bajtla – wspomina pan Józef – byłem ministrantem, w naszym kościele pod wezwaniem Serca Jezusowego. Pamiętam jak matka powtarzała: Synek, mamy w Gogolinie kościół poświęcony samemu Panu Bogu. Jeśli tu będziesz prosił, to najprędzej zostaniesz wysłuchany. Coś w tym musi być, bo najlepiej mi się modli w naszym kościele. I myślę, że te modlitwy dotarły do kogo trzeba, uratowały mnie jako człowieka. Ale to dopiero za kilkadziesiąt lat.

Na razie Józef Jelito po szkole powszechnej został budowlańcem. Szybko zrobił papiery mistrzowskie, był dobry w swym fachu. Po wojsku ożenił się i w ciągu trzech lat mieli już trójkę dzieci.

– Moja Maria miała tyle co ja, czyli niewiele. Jedno od drugiego uczyliśmy się życia. Jedno z drugim powoli się dorabialiśmy. Ja na budowie, Maria przy dzieciach, zajmując się domem a poza tym gęsiami, kurami, królikami, świniami. Pracy to ona miała pod dostatkiem.

Jako murarz miał wzięcie i na początku dobrą markę, w latach 60. i 70. sporo się w Gogolinie budowało. Głównie prywatne domy, ale i szkoła nr 2 to jest jego robota. Pracował w firmie, potem założył własną. Miał ją niedługo, wszystko przez pociąg do wódki.

– Na budowach zdrowo się wtedy piło – wspomina. – Gdzie na robotę się szło, wódka częstowali wszyscy, a odmówić było nie sposób, bo to najlepsza droga by obrazić człowieka.

– Najgorsze co w tamtych czasów pamiętam, to powroty do domu. Ja wracam pijany a w pokoju żona z dziećmi za każdym razem klęczą przed obrazem Matki Boskiej i modlą się, by Najświętsza Panienska pomogła mi wyjść z tego nałogu i wrócić do nich. Łzy mi się wtedy lały po policzkach, ale piłem dalej.

Aż kiedyś kierownik zauważył, że ręka mi drży, wziął mnie na bok i powiedział: chłopie, ty się musisz leczyć. Pojechałem do lekarza do Krapkowic, dał mi takie tabletki, jedna rano, druga wieczorem i po tej rannej, po fajrancie poszedłem na pięćdziesiątkę i piwo. Obudziłem się w szpitalu. A potem jak wytrzeźwiałem, pomyślałem: człowieku masz kolegów, którzy z wódki się leczyli i nie wyleczyli. Jak sam sobie nie pomożesz, żaden lekarz ci nie pomoże.

I wtedy przypomniał sobie słowa matki o gogolińskim kościele i jego krótkim dystansie do Bożej łaski. Zaczął się gorliwie modlić, jeździł błagać św Annę do bazyliki na Annabergu.



Dziś mijają 42 lata, gdy nie wziął alkoholu do ust. Wie, że tylko łaska boska uratowała go przez zmarnowaniem.

I gdy ktoś go dziś pyta, jak wyjść z nałogu, zawsze powtarza: rób wszystko, co się da, ale zawsze pamiętaj o modlitwie.

W kamieniu wrosta pamięć

Te swoje złote myśli od lat Józef Jelito od lat przelewa na kamień. Chodzi po okolicy, zbiera je, myje a potem zapisuje:

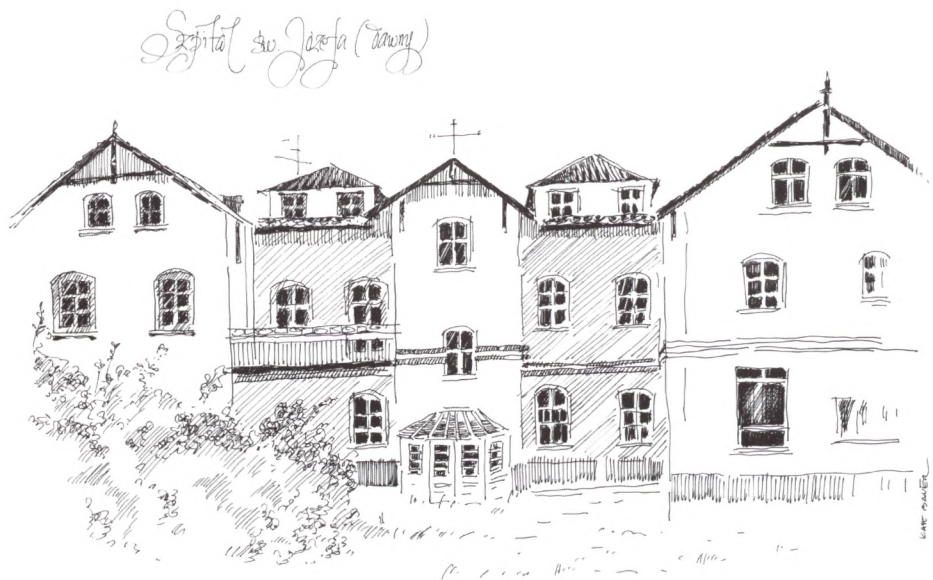
„Kto modli się i pracuje, ten zbliża się do nieba i chleba”. A na innym: „Piękny jest ten świat dany od Boga. My jesteśmy tylko gośćmi. Zrobiliśmy z niego świat niezgody, wojen i nienawiści, a nie pokoju i miłości”, albo: ” Wszystko ma swój początek i koniec. Mówi się, że kij ma dwa końce. Obejdiesz świat dokoła i nie znajdziesz końca”.

Czasem z pisownią jest coś nie tak, ale przecież nie o nią, lecz myśl tu chodzi. Myśli pana Józefa nachodzą głównie w nocy we śnie, wtedy budzi się, bierze kartkę papieru i zapisuje. Nie liczy, ale pewnie już z kilkaset kamieni tak opisał. Bo kamień to jest dla niego początek wszystkiego. Kamień towarzyszył Jezusowi w jego ziemskiej wędrówce, żłobek w Betlejem pewnie był z kamienia, konwie w Kanie Galilejskiej, wreszcie grotta, do której Go zdjęto z krzyża.... Kamień to budulec dosłownie i w przenośni.

Swoje myśli pan Józef zapisuje też na deszczułkach i wiesza w swojej altanie. Wiszą tam nałożone wprawną ręką drukarza wśród zdjęć istotnych.

W tej altanie czytając ze ścian można się dowiedzieć, że Gogolin zaczął się od 30 rodzin, które miały łącznie 360 dzieci. A w księgach z 1789 roku najczęściej powtarzające się gogolińskie nazwiska to: Jelito, Woytala, Bonkos, Szampera, Biela, Knopp, Grabarz, Wittek, Bomba, Placzek i Wientzek.

- Po co piszę? - powtarza pytanie pan Józef - Bo nad słowem warto się zatrzymać i zastanowić. Myśl zapisana jest zatrzymana...



Najważniejsze jest zaufanie

Dzieciństwo pamięta się bardzo dobrze zwykle w dwóch przypadkach: gdy jest ono beznadziejne albo dobre. – Moje było dobre – mówi Franciszek Holeczek, rolnik, hodowca, a oprócz tego wieloletni gogoliński radny, przez dwie kadencje przewodniczący rady miasta i gminy.

Z Gogolinem jest związany od urodzenia, a genealogicznie, to rzecz jasna jeszcze dłużej. Dziadkowie ze strony ojca prowadzili tu przed wojną młyn, tam gdzie teraz jest budynek gospodarki komunalnej. Zimą 1945 zdążyli uciec, ale ich syn Ginter a ojciec pana Franciszka pozostał. Młyn po wojnie został zabrany, ojciec najął się na początku do pracy w gospodarstwie państwa Marek. Potem zatrudnił się w GS Gogolin jako wozak. Wozził żywiec i piwo. Geesowska ubojnia była wówczas na ulicy Strzeleckiej a spęd żywca na Kozielskiej. Poczawszy od 4 rano kursował z żywcem na tej trasie. To w tygodniu, a w niedzielę zaprzęgał bryczkę, bo prezes geesu uwielbiał wycieczki po okolicy.

– Jako mały chłopak często towarzyszyłem ojcu i w pracy i podczas tych wycieczek wspomina pan Franciszek. – I tak rodziło się moje zamiłowanie do koni.

W Strzebniewie, tu, gdzie dziś mieszkają z żoną, było w pierw gospodarstwo babci. – Bez przerwy tu zaglądałem, pomagałem, spędzałem tu każde wakacje – wspomina. – W 1970 gospodarkę przejęli moi rodzice. Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby stąd uciekać, wręcz przeciwnie, robota na roli, przy zwierzętach mi się podobała. Pasowała mi ta przeprowadzka z Kolejowej do Strzebniewa, kiedyś odrębnej wsi, dziś dzielnicy Gogolina. W 1970 poszedłem też do zawodówki. Szkoła Zakładów Wapienniczych mieściła się wówczas przy ul. Powstańców Śl. a warsztaty mieliśmy na placu Benedyktyńskim. A potem było rutynowo: praca, wojsko, praca. Całe swoje zawodowe życie spędził w Zakładach Wapienniczych. – Tak że spokojnie można powiedzieć, że 46 lat pracowałem w jednym zakładzie jako maszynista koparki, ładowarki.

Tak się życie ułożyło, że pan Franciszek jest zawodnikiem od długich dystansów: prawie pół wieku w jednej firmie, radnym też jest od 1984 roku do dzisiaj, z jedną przerwą w kadencji 1990–1994. Samorząd to jest dobry punkt obserwacyjny, skąd



Franciszek Holeczek z krótką przerwą od 1984 roku reprezentuje mieszkańców jako radny.



dobrze widać wszystkie zmiany, postęp w gminie, ale też związane z nimi poświęcenie. – Co się zmieniło? Dużo się zmieniło- uważa radny Holeczek. – Tak dużo, że nie sposób tego ot tak, z marszu wymienić. Na pewno warto zauważyć osiedle Dębowe, gdzie osiedlają się chętnie młodzi ludzie, tak że Gogolinowi kryzys demograficzny raczej nie grozi. Powstały nowe sklepy, stacja kolejowa to teraz prawdziwy przystanek kultury, nowe firmy wyrosły na ulicy Kamiennej, która wyrasta na dzielnicę przemysłową miasta. A już w kierunku Kamionka czekają kolejne dziesiątki hektarów na potencjalnych inwestorów w biznesie. – Wiele miejsc w mieście zmieniło się nie do poznania - podkreśla pan Franciszek. – Rejon dworca kolejowego, który dziś jest centrum przesiadkowym. Tam gdzie stoi dziś blok na Strzeleckiej była kiedyś piwiarnia, w której czas jakiś pracowali moi rodzice. Nie ma po niej śladu. Po kultowych kiedyś restauracjach Polonia i Karolinka pozostało też już tylko wspomnienie. Przed domem kultury, tam gdzie dziś stoją jednorodzinne domy, była kiedyś mleczarnia ze sklepem. Wszystko się wokół zmienia, grunt, że na lepsze, to przecież naturalna kolej rzeczy.

Tak samo u nich, w Strzebniewie. Kiedyś pod każdym numerem ktoś coś hodował – było, świnie, drób. A dziś gospodarzy takich jak Franciszek Holeczek pozostało tu niewielu. Ale sąsiedzkie więzi, choć lekko rozluźnione, jednak pozostały. Miejscem spotkań na dzielnicy jest świetlica po starej gorzelnii, pięknie wyremontowana. To dziś punkt zbiórki dla młodzieży, ale i dla ich rodziców i dziadków. Na świętego Józefa w marcu spotykają się tu mężczyźni, kobiety wszystko przygotowują, a na 8 marca jest odwrotnie. – Kiedyś były u nas słynne bale u państwa Krok, w czasach kiedy o katering nikt jeszcze nie słyszał. Zabawy na sto osób szykowały wyłącznie nasze panie.

– Zawsze w maju na św. Jana Nepomucena strzebniewianie spotykają się na mszy w miejscowej kaplicy pod jego wezwaniem. A potem toczą się sąsiedzkie pogaduchy przy piwie w altanie obok. No i ważna jest też data 25 maja, ale to już w całym Gogolinie, gdy miasto obchodzi święto swojego patrona, św. Urbana. O siedemnastej obchody rozpoczyna uroczysta msza, a poniej wyrusza procesja przez okoliczne pola. Rolnicy niosą figurę św Urbana i jego sztandar., o który zabiegał śp. Jan Krzyża, wspaniały społecznik, jego śmierć wszyscy tu pamiętają, wielu było jej świadkami, gdy na dożynkach nieszczęśliwie kopnął go koń. – Strzebniew - uważa pan Franciszek - to jedna wielka rodzina. Mamy tu Stowarzyszenie Piękny Skrawek Gogolina, i to ono organizuje nasze spotkania i integracyjne imprezy. Ale codzienność to nie zabawa. W gospodarstwie lekko nie było. Pan Franciszek przejął je od schorowanego ojca. I żeby pogodzić prace zawodową z tą tutaj wstawą o 3 w nocy, żeby oporządzić zwierzęta, wydoić krowy i na szóstą zdażyć do firmy. Na emeryturze pan Franciszek zostawił sobie byki i hodowlę świń, zrezygnował z hodowli konika polskiego. Ostatnie dwa sprzedał pod Niemodlin. Bo co prawda siły jeszcze są, no ale dwadzieścia lat to miało się już dawno.

Jego największy sukces w samorządzie? Na pewno fakt, że przez tyle lat cieszy się zaufaniem ludzi, którzy wybierają go na radnego. No i może to, że mimo siedemdziesiątki na karku, człowiek jeszcze nie siadł, prowadzi gospodarstwo.

A czego żał? Może tego, że świat tak szybko się dzisiaj zmienia, więzi międzyludzkie się rozluźniają. Ludzie żyją coraz bardziej wsobnie. Komputery, internety – to dziś pochtania czas młodym. Kiedyś w Sylwestra w Strzebniewie o północy się z domu wychodziło, składało życzenia sąsiadom, przepijało symboliczną lampką szampana. Dziś już tego nie ma. Szkoda, ale czasu się przecież nie zmieni. Ten swój każde pokolenie urządza po swojemu. Co nie znaczy, że zawsze lepiej.



Dobro wraca

Był rok 1971, gdy młoda nauczycielka chemii spod Brzegu i początkujący asystent Wyższej Szkoły Pedagogicznej z Raciborza szukali miejsca, gdzie będą budować wspólną przyszłość. Panią Janinę łączyło z Namysłowem stypendium fundowane, ale ze względu na sytuację rodzinną, czytaj męża na opolskiej WSP, kuratorium poszło jej na rękę i zamieniło przydział pracy na liceum w Gogolinie.

- Początki były bojowe – przyznaje prof. Daszkiewicz. – Zakwaterowali nas w jednopokojowej klitce bez wc i z kuchnią bez wody. – Za to z wspólnym korytarzem z pewną śląską rodziną, które to sąsiedztwo wymusiło na mnie szybką naukę śląskiej gwary, żeby sąsiadów zrozumieć – dopowiada pani Janina. – No ale krapkowicki inspektor oświaty obiecał nam, że długo tak żyć nie będziemy i słowa dotrzymał, po pół roku dostaliśmy miejsce w tzw. domu nauczyciela.

Dom kupili w 1981 od rodziny emigrującej do Niemiec. Wtedy wielu gogolinian postanowiło spakować walizki. Był to zwykle bilet w jedną stronę.

- Czasy były nieciekawe – przyznaje pani Janina – ale kredyt mieszkaniowy udzielali na 1 procent. – Trochę się obawialiśmy, jak nas tu przyjmą, w końcu obcych, nie



Janina i Zdzisław Daszkiewiczowie związali życie z Gogolinem i z nauczaniem młodzieży.

stąd – podkreśla pan Zdzisław. – Obawy były daremne i szybko znaleźliśmy wspólny język a w razie potrzeby służyliśmy wzajemną pomocą.

– Wszyscy tu w okolicy mówili gwara, dzieci złapały natychmiast, natomiast ja, czyli ojciec miałem z tym niejake kłopoty – opowiada pan Zdzisław. – Raz syn poprosił mnie o naprawę roweru i wspominał coś o zerwanej kecie. Z początku nie wiedziałem, że chodzi o łańcuch.

– W 1971 roku, gdy tu przyjechaliśmy, Gogolin wydawał się szary, zapyziały i mocno pachniał prowincją – wspomina swoje pierwsze wrażenia pani Janina. No ale liceum, jej szkoła, była tych wrażeń zaprzeczeniem.

– To była zawsze kuźnia zdolnych uczniów i miejsce świetnej współpracy nauczycieli z rodzicami, bez ich wsparcia mogło być znacznie trudniej. Mieliśmy świetne wyniki nauczania, tylko, że nie szła za tym opinia u ówczesnych władz. Na naradach w kuratorium ciągle nam wypominali, że jesteśmy kuźnią kleru, za to niewielu wśród naszych absolwentów wiąże swą przyszłość z wojskiem i milicją.

Na te narady pani Janina jeździła już jako wicedyrektor liceum, którym została w 1975 roku. W 1981 wybrano ją w pierwszym takim konkursie na dyrektora liceum, wcześniej wskazywał go kurator, a właściwie to partia.

– W stanie wojennym, trzech naszych uczniów aresztowano za działalność w organizacji WiN. Mnie jako dyrektora bez przerwy indagowano, co robię, by takie sytuacje już się w szkole nie powtórzyły. Miałam dość, zrezygnowałam z funkcji, wolałam lekcje swojej chemii.

Na stanowisko zastępcy dyrektora wróciła w 1991, już w innej Polsce, w której nikt już nie badał ukłerykalnienia absolwentów. Stąd w 1999 przeszła do wydziału edukacji krapkowickiego starostwa, utrzymując ze szkołą kontakt na pół etatu. A potem swym doświadczeniem dzieliła się jeszcze jako specjalista ds. oświaty w gogolińskim ratuszu, od 2007 do 2011 roku.

W tym czasie kariera prof. Zdzisława Daszkiewiczza toczyła się swoim torem na opolskiej uczelni: w 1971 asystentura, w 1978 obrona pracy doktorskiej na Politechnice Krakowskiej, w 2005 habilitacja na Wydziale Chemii Politechniki Łódzkiej, w 2007 profesura nadzwyczajna na Uniwersytecie Opolskim. Był w tym czasie przez dwie, trzy letnie (od 2005 – do 2012 roku) kadencji prodziekanem, najpierw na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii a potem na Wydziale Chemii. Pełnił również funkcję kierownika Zakładu Chemii Organicznej.

Przez siedem lat (od 1995 – do 2002 r.) na pół etatu uczył też chemii w gogolińskim liceum.

Bo wiadomo, w nauczycielskim domu nigdy się w Polsce nie przelewało, a już na pewno w czasach, gdy dwóch synów poszło na studia. Dziś starszy Piotr jest kardiochirurgiem, a młodszy Paweł prowadzi dobrze prosperującą firmę w Poznaniu.

– Z tej szkoły dyrekcja nie chciała mnie potem puścić- wspomina prof. Daszkiewicz. – No ale gdy starała się o pracę młoda nauczycielka i nie było dla niej etatu, oboje z żoną zrezygnowaliśmy z tych swoich połówek. Nie ma co blokować młodym kariery. My zawsze wychodzimy z założenia, że okazane dobro do człowieka wraca – odpowiada pani Janina. – No i proszę, w tym samym dniu, gdy zrezygnowaliśmy z uczenia, zadzwonił telefon od młodszego syna: Mamo, tato, dostałem pracę!

Dziś po pierwszym wrażeniu pani Janiny z Gogolina sprzed 51 lat nie ma śladu. – Miasto zmieniło się nie do poznania, zwłaszcza odkąd nastąpiły samorządy – przyznaje



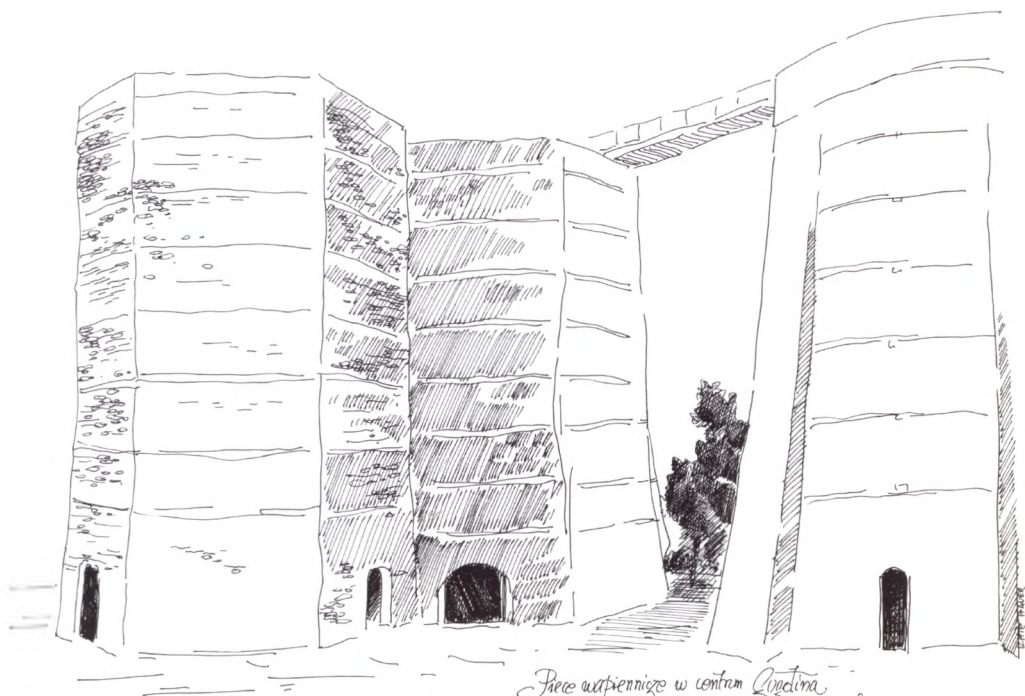
A i jej liceum, zawsze mocne w nadbudowie, i w bazie również nie ma się już czego wstydzić.

- Kiedyś, gdy przyjeżdżały zagraniczne delegacje, wstyd było ich zaprowadzić do toalety, męska to była nawet na zewnątrz. Pracownie lekcyjne to już poziom europejski. Gmina na szkoły nie żałuje i to widać - mówi pani Janina.

- Rozwijają się międzynarodowe kontakty. Dla mnie wyjątkowo warta jest podkreślenia współpraca, którą jeszcze w krapkowickim starostwie zainicjował Joachim Wojtala ze szkołą IBKM w Helderungen, dzięki której po maturze mogli się tam kształcić nasi uczniowie w zawodzie fizjoterapeuty. Mieli zapewnione warunki do nauki, wikt i opierunek, z możliwością pracy na miejscu, gdyby tylko chcieli. Szef tej szkoły, pan Krauspe, zawsze podkreślał, by uczniowie z Polski nigdy nie zapominali o swoich korzeniach, kulturze i wierze. No i to się potem sprawdzało, bo wielu polskich absolwentów wróciło do domu, choć przecież mogli tam zostać.

- I my tu już zostaniemy - mówią państwo Daszkiewiczowie. - Znaleźliśmy swoje miejsce. Nikt nigdy nam tu nie wypomniał, że byliśmy obcy, że jesteśmy hadziami. Bo nieważne skąd kto jest, tylko jakim jest.

I ta zasada przyświeca im przez całe życie



*Prace wypiennicze w centrum Anetina
wybudowane w 1877 roku Stancija Szynkót Pjermijst, który
zaopowiad. Po przekształceniu miasta*



Za rękę od śmierci do życia

Ta historia zaczyna się w 1942 roku w okolicach Sambora na kresach okupowanej Polski. Dziś już nikt nie pamięta jaka to była pora roku, czy było jasno, słonecznie, czy dzień był dżdżysty i zamglony. Gdyby to była fabuła filmu, reżyser pewnie postawiłby na to drugie.

Ale ten scenariusz napisało życie: Skrajem lasu idzie mężczyzna i prowadzi za rękę dziewczynkę, naprzeciw idzie znajomy, 22-letni wówczas Piotr Komarnicki. Przywitał się, a co to za dziewczynka, pyta Piotr. A to Żydówka, odpowiada znajomy. Zostawił mi ją na przechowanie pewien Żyd, mówił, że wróci po nią za dwa tygodnie, i tyle go widzieli. Prowadzę, powiada znajomy, małą na komisariat, żona boi się, że Niemcy ją u nas znajdą i wszyscy pójdziemy do ziemi.

Człowieku, przerywa mu Piotr, a ty wiesz, że ją prowadzisz na śmierć? Wiem, nie wiem, odpowiada znajomy mężczyzna, ale do domu wrócić z nią nie mogę, jak chcesz, to ją sobie weź.

Tak zrobił. Piotr zaprowadził dziewczynkę do rodzinnego domu. Nazywała się Ester Roter, miała 9 lat i wielkie ze strachu oczy. W domu Komarnickich,



Anna Kucharz z dumą prezentuje dyplom „Sprawiedliwy wśród narodów świata” z Yad Vashem.



rolników spod Sambora było dziesięcioro dzieci. Piotr był najstarszy a najmłodszy braciszek miał wówczas trzy latka. Nic dziwnego, że matka Apolonia, gdy zobaczyła małą Żydówkę, w pierwszym odruchu załamała ręce i spytała pierworodnego syna: Człowieku, co ty nam narobił? Potem przepłakała całą noc. A rano, a może jeszcze tego samego wieczora przed nocnym przepłakaniem, Piotr powiedział: Mamo jak chcesz, to ty ją zaprowadź na śmierć, ja nie potrafię. A ty rób, co ci sumienie podpowiada.

Strach to jedno, a co innego sumienie. No więc ono podpowiedziało matce dziesięciorga dzieci, że tak się nie godzi, wysłać dziecko na zatracenie. Ester została jedenastym dzieckiem Komarnickich. Tyle, że mimo starań, nie udało uchronić tajemnicy. Dzieci na wsi dogadywały małym Komarnickim: hej, wy Żydówkę w domu macie. A gdy na podwórku o czymś takim się mówi, to nigdy nie jest przyczyna, tylko skutek.

Od tych plotek w ciągu dwóch lat, jakie Ester spędziła u Komarnickich, były w jej sprawie trzy naloty granatowej policji. Dom stał na szczęście trochę na odludziu, trudno było w dzień niepostrzeżenie podejść. Rodzina przygotowała dla dziewczynki kryjówkę pod żłobem w stajni, tam nocowała zimą, latem kopali dla niej ziemianki, raz w lesie, a gdy zboże stało na pniu, to na polu.

eden policyjny nalot Ester przeżyła schowana w skrzyni z baraniami skórąmi. Policmajstrów zauważyli w ostatniej chwili. Policjant podczas przeszukania kłut nawet te skóry bagnietem, ale na szczęście nie trafił. Innym razem, to było w zimie, zdążyli tylko zapakować Ester w pierzynę i zasypać w śnieżnej zaspie. Kopal szesnastoletni wtedy Stefan. Za trzecim razem, a może w czasie jednego z tych dwóch, policjant zagadał do trzyletniego Gienia: Gieniu dostaniesz cukierki jeśli powiesz, czy chowacie tu Żydówkę. A jest, jest u nas Żydówka, odpowiedział chłopiec i zaczął łakomie się rozglądać za obiecany cukierkami. Na szczęście matka nie straciła zimnej krwi. Panie posterunkowy, machnęła ręką, on jest tak głodny, że za cukierki to sprzedałby nawet matkę. Posterunkowy odpuścił, bo faktycznie u Komarnickich czasem nie było co na talerz położyć.

Ester jak to dziecko, z początku często płakała, bała się sama spać w ziemiance w lesie i nieraz prosiła przybraną matkę, by ją odesłała do prawdziwych rodziców. Mieszkali przecież niedaleko, w sąsiedniej wsi. No i kiedyś tego płaczu Apolonia nie wytrzymała, a tak po prawdzie chciała ulżyć cierpieniom dziecka. Zapakowali małą na wóz, przykryli derkami i pojechali pokazać to, o czym sami doskonale wiedzieli: Spalone kikuty ścian domu Roterów. Nie było domu, nie było rodziców, Ester rozumiała, że nie ma już tu do kogo wracać. A łzy niczego nie zmieniają.

W 1944 za sowieckim frontem przyszły organizacje żydowskie, by zbierać ocalone żydowskie dzieci. Ester trafiła do sierocińca w Bielsku-Białej a stamtąd do Izraela. Apolonia znowu przepłakała niejedną noc, nie chciała oddać Ester, kochała ją jak córkę. Zwłaszcza, że Ester nikogo nie miała, tylko zdjęcie kuzynki, które dał jej jeszcze ojciec. I okazało się, że ta kuzynka żyje w Izraelu i się nią zajęła.

Tam Ester skończyła studia, wyszła za męża, urodziła trzech synów. Ale przez wiele lat Komarniccy nic o tym nie wiedzieli. W Samborze słuch o niej zaginął z chwilą wyjazdu do sierocińca i prawdę mówiąc o czym innym się wtedy u Komarnickich mówiło. Że Ruscy zostaną już tu na zawsze, że Polski tu nie będzie. Postanowili więc z dziećmi szukać jej na Ziemiach Odzyskanych. Przydzielono im gospodarstwo



w Równym pod Głubczycami. Dziewczyny szybko wyszły za mąż, chłopaki się pożeniły. Tylko Michał, wywieziony na roboty do Niemiec do Saarbrucken, tam się wżenił w rodzinę, u której pracował i napisał, że do Polski nie wraca. To był dla wszystkich szok, że woli u Niemca zostać.

Piotr wysłał matkę po swoją ukochaną do Sambora, by mu ją przywiozła. I tak się stało. Apolonia pojechała do dawnych sąsiadów z kresów i powiedziała: Przyjechałam po Paulinę dla Piotra. Ślub był w Równym w grudniu, trochę było załatwiania, bo Paulina była wtedy niepełnoletnia.

W Równym Piotr gospodarzył na 60 hektarach, wszystko miał zmechanizowane, ciągnik, snopowiązałkę, kopaczkę do ziemniaków. Nie wahał się kupować maszyn, gdy inni pukali się w czoło i pytali, po co to robisz, i tak przecież stąd wszyscy wrócimy do siebie na wschód.

I serce miał wciąż to samo dobre. Dom na wycugu, który stał obok jego, na tym samym podwórku, podarował obcym ludziom, bo byli w potrzebie. Kobiecie żyrował pożyczkę na zakup krowy a potem ją spłacał. Na pretensje matki, że głupi jest i naiwny, odpowiadał: Mamo, mnie stać, ja mam, ona nie, dlatego zapłacę, nam nie ubędzie.

- Taki był mój ojciec, takiego go pamiętam - mówi córka Anna Kucharz. Anna wyszła za mąż za Janusza, trzy lata mieszkali z rodzicami, gdy dowiedzieli się, że pod Gogolinem budują cementownię Górażdże, potrzebują rąk do pracy i obiecują mieszkania.

Przenieśli się z Januszem do Otmętu na osiedle XXX-lecia, klucze do własnego M. dostali po trzech miesiącach. Janusz pracował w cementowni, a Anna ciągle w tych Głubczycach. Gdy w ciąży szła na przystanek skrótem przedzierając się z brzuchem przez rów, kierowca autobusu zagadał do niej kiedyś: Pani szanowna, pani powie, gdzie się mam dla niej zatrzymywać, bo mi pani tu jeszcze w tym rowie kiedyś urodzi.

Potem zatrudniła się w USC w Gogolinie a mąż w wydziale kryminalnym milicji. Nie pasowało to im za bardzo i zaraz po stanie wojennym oboje się zwolnili. Postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. Był taki minister Wilczek, który przekonywał, że co nie jest zabronione, to jest dozwolone. No i uwierzyli, założyli biuro podróży, wozili ludzi do Niemiec, jakoś szło. W 1991 wzięli na kredyt nowiutki autokar jelcza. To było w listopadzie, a w grudniu Balcerowicz podniósł oprocentowanie kredytu o 400 procent. Stara ciężarówka Janusza poszła na spłatę jednej raty. A że więcej ciężarówek nie miał, trzeba było jelcza sprzedać, tylko nikt nie chciał kupić. Katastrofa im zajrzała w oczy. Aż znienacka pojawił się kupiec, słynne Art. B wzięło autokar za 330 milionów, tak, że spłacili kredyt i jeszcze zostało na zakup domu w Gogolinie, co prawda w rozliczeniu ze starym ich mieszkaniem, ale zawsze.

Anna do dziś myśli, że tą transakcję, która ich wyratowała od bankructwa, to ona sobie u Pana Boga wymodliła. Po tym wszystkim Anna wyjechała do Niemiec wychowywać wnuki. Żyli tak z Januszem na dwa domy przez 10 lat, aż w końcu on do niej dojechał i w Niemczech spędzili kolejną dekadę, wracając raz po raz do Gogolina, by remontować swój dom, bo coś im mówiło, że kiedyś tu jeszcze wrócą.

Tymczasem w 2000 roku w dalekim Izraelu dorośli już synowie namówili Ester, by odszukać jej wybawicieli z Sambora. Pojechali na wschód, ale tam ludzie powiedzieli, że skoro Komarniccy, to na pewno Polaki, a tych najlepiej jest szukać w Polsce. Znaleźli ich w Równym przez Czerwony Krzyż. Ester



przyjechała tu w 2004 z synami, mogła już tylko położyć kwiaty na grobie Piotra, ojca pani Anny, który ją za rękę wyprowadził od śmierci do życia. Dzieci Piotra umówiły się, że medal Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata będzie przechowywał brat w Mannheim, a dyplom Yad Vashem będzie wisiał w domu Anny, w Gogolinie. Wszyscy Komarnickcy dostali wówczas takie dyplomy.

Co roku w dniu pamięci o Holokauście rodzina Ester przesyła do nich list. Ten ostatni brzmi tak: „Dziś, według kalendarza hebrajskiego przypada Dzień Pamięci o Holokauście. Nigdy nie zapomnimy odważnych czynów Twoich dziadków i dzieci, które uratowały Esterę. My, 3 jej synów, 10 wnuków i 4 prawnuków zawdzięczamy życie Twojej rodzinie. Proszę, jeszcze raz przekaż całej rodzinie naszą najgłębszą wdzięczność. Twoja rodzina jest prawdziwą świecącą gwiazdą w naszej historii ludzkości.”

Najbliżsi pani Anny to dziś mąż Janusz, córka Katarzyna Zastępa, jej troje dzieci: Natalia, Ola, Paweł, córka Aneta i jej dzieci: Feres, Alissa i Mirella.

Anna i Janusz Kucharzowie wrócili do Gogolin. W Niemczech nie mieli źle, ale to tu jakoś tak bardziej czują się u siebie.

- Tu jest Polska, tu jesteśmy u siebie. Mam takie przecucie, że my już zostaniemy w tym Gogolinie- mówi pani Anna.

Ester w styczniu skończy 90 lat, przeżyła wszystkich Komarnickich, którzy ratowali jej życie, narażając swoje przez długie dwa lata. Chyba najdłuższe w jej i Komarnickich życiu.



Fizykiem zostałem przez przypadek

Urodziłem się w 1940 roku w Gogolinie. Można powiedzieć, jestem dzieckiem wojny, choć to nie do końca prawda, bo u nas w Gogolinie wtedy wojny nie było. Przyszła wraz z sowieckim frontem w 1945. A wcześniej była w listach ojców, braci, synów z frontu. Ojca właściwie nie było już w domu, na dobre wrócił kilka lat po wojnie z niewoli, gdzieś z okolic Murmańska przez NRD.

Ja koniec wojny pamiętam doskonale. Razem z matką, ale też w tłumie innych ludzi, ewakuowaliśmy się przed nadchodzącym frontem na południe. Niemiecka kapitulacja zastała nas w miejscowości Kostelec pod Pragą. Stamtąd wracaliśmy do Gogolina po torach.

Po powrocie mieszkaliśmy u dziadków na ulicy Powstańców. Dziadek miał tam piekarnię. Matka najpierw pracowała w Ołcie, czyli Otmęcie, a potem czas jakiś na służbie w Opolu. Choć może było odwrotnie, już tak dokładnie nie pamiętam. Za to dobrze wspominam piekarnianie truły, czyli takie pojemniki na zaczyn chlebowy, w pustych, niepotrzebnych trzymałem potem swoje szpargały.

Po polsku nie umiałem w ogóle, za to moi rodzice znali ten język. Ja się go nauczyłem jeszcze zanim poszedłem do szkoły, na ulicy od kolegów, dzieci przesiedleńców z Kresów i tzw. centralnej Polski.

W klasie dzieliliśmy się na trzy grupy uczniów: byli Cyganie, my, autochtoni i ludność napływowa. Taka jest historia tej ziemi. I wszyscy się ze sobą doskonale dogadywaliśmy. Bo skoro nas tak powojenne losy połączyły, nie było sensu się temu sprzeciwiać. No naturalnie miałem problemy z zachowaniem imienia i nazwiska. W podstawówce funkcjonowałem jako Jan, to moje drugie imię, z nazwiska wycięli mi jedno „s”. Potem, już w szkole średniej, chcieli ze mnie zrobić Ryszarda, ale zaprotestowałem. Tłumaczyłem, że Reinhard dostałem na chrzcie, przed Panem Bogiem i tego już nic nie zmieni. Jak tylko czasy w Polsce znormalniały, wróciłem do swojego pierwszego imienia i pełnego nazwiska. Ostatnio nawet potrzebowałem



Reinhard Kulesa miał szczęście do nauczycieli w gogolińskich szkołach i sam został wykładowcą akademickim na Uniwersytecie Jagiellońskim.

aktu urodzenia i przysłali mi z Gogolina odpis dokumentu w oryginale, z 1940 roku. To było dla mnie wielkie zaskoczenie i nie lada przeżycie, trochę czułem się tak, jakbym wrócił do krainy dzieciństwa. Zawsze uważałem, że niepotrzebnie chciano polonizować słowiańską ludność z tych terenów.

Jako dziecko, można powiedzieć, że byłem odludkiem. Nie interesowały mnie sprawy, które bardzo zajmowały moich rówieśników. Piłki nożnej na przykład nigdy nie lubiłem, a w Gogolinie prawie na każdej ulicy chłopaki rozgrywali piłkarskie turnieje. A najciekawsze w tym jest to, że w klasie dzieliłem szkolną ławę z Bernardem Blautem. Kumpłowaliśmy się rzecz jasna również poza szkołą, no ale do gry w balla nigdy mnie nie przekonał, choć owszem, próbował. Z Bernardem, Zygą Poradą, Dieterem Woszczycą tworzyliśmy taką klasową paczkę.

Oni beze mnie grali w piłkę, a ja najbardziej lubiłem paść dziadkowe kozy. Dziadek trzymał jeszcze gęsi. Je też pasalem. Lubiałem wtedy łązić jak to się wtedy mówiło „po skałach”, czyli w kamieniołomach. Podczas tych wędrówek uruchamiałem chłopięcą wyobraźnię, Otaczały mnie tam wokół skalne twierdze, pobliski lasek wydawał się mrocznym tajemniczym borem, pełnym strzykw, duchów i im podobnych miazmatów. Zawsze miałem niezłą wyobraźnię, która po latach procentowała także w mojej pracy naukowej.

Ale to było lata później. Zaraz po wojnie razem z mamą chodziliśmy na gogoliński dworzec, wypatrywać powrotu ojca. Nie wiem skąd, ale wszyscy wiedzieli, którymi pociągami wracają mężczyźni z niewoli, choć rzecz jasna lista pasażerów nie była znana. Wychodziło się więc na ten peron zawsze z nadzieją, że tym razem i do nas uśmiechnie się szczęście. No a jak ojciec za którymś razem rzeczywiście stanął na gogolińskim peronie, i tak było to dla nas wielkim zaskoczeniem. Bo co innego mieć nadzieję a co innego, gdy ona się ziści.

Ojciec wrócił z tego Murmańska już bardzo chory, nigdy do końca nie doszedł do zdrowia, aż kilka lat po wojnie nerki definitywnie odmówiły mu posłuszeństwa. Leczyli go kolejno w Gogolinie, Opolu i w klinice we Wrocławiu, a potem w tej samej kolejności wracał do domu, by umrzeć. Trwało to rok, i ten rok pozwolił nam oswoić się z myślą, że ojciec gaśnie. Zmarł w moim roku maturalnym.

Szkoła to miejsce, które odegrało ważną rolę w moim życiu. Miałem wielkie szczęście do nauczycieli. W gogolińskim liceum mieliśmy superwychowawczynię, Marysię Orkisz, potem po mężu Markową, góralkę z Krościenka. Świetna, mądra, empatyczna, bezpośrednia kobieta. Uczyła polskiego i rozumiała nas jak mało kto. Wyszła za męża za prof. Franciszka Marka, polskiego Ślązaka, pierwszego rektora Uniwersytetu Opolskiego. Było w szkole małżeństwo Pyków- on uczył łaciny, ona była świetną matematyczką. Za namową profesora Pyki zacząłem się uczyć francuskiego, którego to języka, obok łaciny i greki, był wielkim admiratorem. Było małżeństwo Kręźłów, on miał przywilej Buła i uczył nas biologii, ona, ksywka Kleopatra, uczyła nas historii. Jej konikiem były powstania chłopskie i prawdopodobnie to całkiem mnie zniechęciło do tego przedmiotu. Dyrektorem szkoły był wówczas pan Misner, nauczyciel Putramenta, wówczas bardzo prominentnego poety. Nie wiem jak swojego najsynniejszego ucznia, ale poezję dyrektor kochał. Trochę nas to śmieszyło, gdy z niesamowitym zaangażowaniem deklamował wiersze na szkolny użytek. Choć trzeba przyznać, że czasem aż ciarki słuchaczy przechodziły. No i rzecz jasna był profesor Dębicki, mój fizyk, któremu zawdzięczam swoje naukowe życie. To on



rozbudził moje zainteresowanie tą nauką. Ojciec, wielki amator radia, chciał, bym poszedł na studia łącznościowe do Wrocławia. Gdy powiedziałem to Dębickiemu jaka była ostatnia wola ojca, spojrzał na mnie i powiedział „wymyślasz głupoty”, po czym bez mojej wiedzy po maturze wysłał moje papiery na wydział fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dowiedziałem się o tym, gdy przyszła z Krakowa informacja gdzie i kiedy mam się stawić na egzamin wstępny. No skoro tak, pojechałem i zdałem.

Na egzaminach byłem w Krakowie po raz drugi w życiu. Pierwszy na wycieczce, pamiętam, że w teatrze Słowackiego zasnąłem na „Wyzwoleniu”, ale nie z braku zainteresowania tylko ze zmęczenia, tak intensywnie zwiedzaliśmy miasto.. Mieliśmy w szkole wuefistę, był biegaczem na 10 kilometrów w klubie Kolejarza. Dzięki niemu na tych wycieczkach mieliśmy tanie przejazdy koleją. Właściwie słowo wycieczki należałoby pisać w cudzysłowie, bo zwykle pretekstem do nich były lekkoatletyczne zawody szkolne, konik naszego pana od gimnastyki. Ja byłem nawet mistrzem powiatu w sprincie na 100 metrów, ale mojego rekordu wolałbym nie wspominać.

Może to dziwnie zabrzmieć, ale na studiach odbiłem się finansowo. W domu była bieda, matka miała na utrzymaniu nas, trzech synów, mnie i dwóch młodszych braci, rocznik 49 i 53. Syrop z buraka cukrowego to było nasze główne smarowidło na chleb. Na studiach ze względu na sytuację rodzinną no i świetne wyniki w nauce, zgarniałem wszystkie możliwe stypendia i studenckie dopłaty. Dostałem akademik, stołówkowe i na dodatek zupełnie niezłą gotówkę do kieszeni. Powodziło mi się więc na tych studiach niezłe. Rocznik 1940 na UJ to była grupa świetnych studentów, wydał wiele naukowych znakomitości. Myśmy się kolegowali, inspirowali i wzajemnie motywowali, zwłaszcza ci, którzy mieszkali w akademiku. Ja miałem to szczęście, że rezydowałem w słynnym Żaczku, ten dom studenta to kopalnia anegdot. W tym czasie szefował tam słynny kierownik Buszek, legenda uniwersytetu, który niby tępił waletów, a tak naprawdę się nimi opiekował, bo wówczas ludzie waletowali głównie z biedy. Bardziej od Żaczka słynna była już chyba tylko Nawojka, akademik dziewcząt, twierdza teoretycznie niezdobyta dla męskiej części Alma Mater. Cały tydzień człowiek się uczył, ale sobota i niedziela to był czas tańców w Rotundzie. Bez fałszywej skromności – uchodziłem wówczas za świetnego tancerza.

Z Gogolina wyjechałem jako osiemnastolatek i od tego czasu jestem właściwie krakowianinem. Rzecz jasna wracam na grób rodziców. Do rodziny już nie bardzo, bo prawie wszyscy stąd wyjechali do Niemiec w ramach tzw. łączenia rodzin, które nie było żadnym łączeniem, bo ludzie wyjeżdżali, żeby po prostu lepiej żyć. My Ślązacy na uniwersytecie, podobnie jak ci w Niemczech, zawsze trzymaliśmy się razem, mieliśmy taką grupę do godki: ja, profesor Józef Spatek i Krzysztof Tomala. Trzeba przyznać, że zawsze miałem słuch do języków, mówię po śląsku, rzecz jasna angielsku, francusku i niemiecku. I tylko niemieckiego nigdy się nie uczyłem. Został mi z wczesnego dzieciństwa, gdzieś w zakamarkach mózgu.

Siedzimy w domu profesora w podkrakowskich Węgrzyczach. Profesor ma dzisiaj problemy ze zdrowiem, ale skoro to miało być spotkanie na użytek albumu na 800-lecie Gogolina, postanowił nie odmówić. Za oknem w ogrodzie piękna polska złota jesień, w salonie u stóp profesora wpatruje się w niego jak w obrazek suczka Beta. Profesor pochyła się nad skrzynką ze zdjęciami.

- Ech, wspomnienia, tyle niezapomnianych chwil – wzdycha. I jest w tym jakiś żal, że wszystko tak szybko minęło...



Prof. Reinhard Kulesa, fizyk. W latach 1988–1990 dyrektor Instytutu Fizyki UJ, w latach 1993–1996 przewodniczący Rady Instytutu Fizyki UJ, w latach 2006–2009 prezes Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Fizycznego. Specjalista fizyki jądrowej, jego zainteresowania naukowe koncentrowały się na badaniach spektroskopowych w wiązkach akceleratorów, fizyce relatywistycznych ciężkich jonów, relatywistycznych wzbudzeń kulombowskich, dwufononowych dipolowych rezonansach gigantycznych, fizyce mezonów, egzotycznych radioaktywnych jądrach. Pracował również na uniwersytetach we Francji i w Niemczech.



Zaufanie zobowiązuje

Urodził się w Górażdżach, ale ojciec jest gogolaninem.

– Ojciec mieszkał w najstarszym zakątku miejscowości, mieszkali w sąsiedztwie pieca Dzioły, kwatrowali tam pracownicy z obsługi – wspomina Joachim Wojtala. – Potem całą rodziną przeprowadzili się do familoków na Kocinie, dziś to ulica Powstańców. Mama zaś jako młoda dziewczyna, z pobliskiego Zakrzowa, przez pola chodziła układać kamień wapienny do wypału na Zakrzowskich Maszynach.

Z dzieciństwa ma przed oczyma trzy obrazy: pierwszy, to Boże Narodzenie, gdy rodzice przywozili ich z bratem do gogolińskiego kościoła, bo w Górażdżach była tylko skromna kaplica, a co to jest na tak wielkie wydarzenie, jak narodziny małego Jezuska? Poza tym w gogolińskiej świątyni była najpiękniejsza w okolicy Betlejka, z ruszającym się Dzieciątkiem. Tak jak teraz dla wielu nie ma świąt bez „Keviną samego w domu”, tak wówczas dla małego Achima nie było ich bez podziwiania gogolińskiego żółbka. A Betlejka była strojna, dla małego chłopca wydawała się olbrzymia i budziła przekonanie, że pięknie się ten Pan Jezus narodził, choć przecież w ubogiej stajence.



Joachim Wojtala (trzeci z lewej) uczynił z folkloru i dziedzictwa kulturowego wizytówkę Gogolina.



A potem były musowo odwiedziny u dziadków na Kocinie. I wiadomo, że z pustymi rękami, bez świątecznych prezentów chłopaki stamtąd nie wyjdą.

Drugi obraz z dzieciństwa związany jest z tym samym kościołem Najświętszego Serca Jezusowego, tylko, że na Wielkanoc. Betlejkę zastępował Grób Pański, gdzie się chodziło ucałować Zmarłego. Wiele smutku przy tym nie było, skoro każdy wiedział, że za dwa dni zmartwychwstanie, i przy świątecznym stole rozbrzmi wesołe Alleluja! No i wtedy po kościele też odwiedzało się dziadków.

To tyle wspomnień sacrum, a co do profanum – zostały też w pamięci obrazy z pierwszomajowych pochodów, gdy górażdżańskich robotników wraz z rodzinami wożono na pace ciężarówek do Gogolina na przymusowy przemarsz. Prawdę mówiąc dzieci akurat nie czuły się zmuszane. Dla nich to była odmiana, atrakcja, piknik. Centralnym punktem pierwszomajowych uroczystości było wprawdzie miejsce gdzie dziś rozpościera się miejski ogród owocowy, po czym główną trybunę przeniesiono w pobliże gmachu liceum, gdzie wtedy był pusty plac a dzisiaj są szkolne boiska.

A na pierwszomajowym pochodzie, wiadomo, grała górażdżańska orkiestra, a mały Achim miał ucho do muzyki. Dziś byśmy powiedzieli, że był najwierniejszym fanem orkiestry dętej, co piątek chodził na jej próby. I ta fascynacja towarzyszy mu przez całe życie.

Rodzice widząc zainteresowanie syna, wysłali go więc do krapkowickiej szkoły muzycznej, do klasy akordeonu, filia w Gogolinie, gdzie na popołudniowe zajęcia dojeżdżał z Górażdży pociągiem. A że rozkład jazdy z godziną nauki nie był kompatybilny, to przed lekcją Achim odwiedzał dziadka, który już na kolejarskiej emeryturze dorabiał jako stróż na budowie geesowskiego pawilonu Zefir, choć po prawdzie słuszniej by go było nazwać Karlik albo Karolinka. Dziadek pokazywał chłopcu postępy prac i czarował opowieściami jaki to będzie w Gogolinie piękny dom handlowy, rzecz jasna jak go już skończą.

– Gdzie ja wtedy bym pomyślał, że kiedyś będę miał wpływ na to, że Zefir przeobrazi się w przybytek, który zaoferuje coś znacznie cenniejszego niż bielizna damska i męska, stanie się kuźnią artystycznych talentów, oazą wrażliwości oraz wartości wyższych – czyli naszym domem kultury z prawdziwego zdarzenia – uśmiecha się burmistrz Wojtala.

W szkole muzycznej (klasa szkoły podstawowej nr 2), pamięta, stał olbrzymi piec kaflowy i zajęcia zimową porą zaczynały się od zdejmowania rękawiczek i ogrzewania rąk na ciepłych kaflach. To było przyjemne, a czasy były wtedy takie, że bardziej niż dzisiaj doceniało się drobne przyjemności. A po zajęciach za poczekalnię na pociąg powrotny do domu służyło mu mieszkanie wujostwa Franciszka i Małgorzaty na tzw. Starej Farze, gdzie przy ciepłej herbatce i ciastku całkiem znośnie czekało się na skład, odjazd 19.00.

Za to wujek Paweł, ze strony mamy, mieszkał z rodziną w Strzebniewie, wtedy osobnej osadzie, dziś dzielnicy Gogolina. Tam jeździło się na wakacje, gdzie największą atrakcją były dwa stawy na niedalekiej Wygodzie. Dla piąto-szóstoklasisty te stawy przypominały, wypisz, wymaluj, jeziora turawskie, tylko lepsze, bo w zasięgu ręki. A woda była czysta, dno przejrzyste, lustro niegłębokie a trawa na brzegu zielona. Cóż można było w upalny letni dzień chcieć więcej.

A jeśli o starych zakątkach Gogolina mowa, na końcu miasta, za kinem, z boku Strzebniewa leżał Wyrglas. I na tym Wyrglasie mieszkaly najładniejsze dziewczyny



w okolicy. Jedną z nich, Krystynę, Joachim poznał na weselu kuzynki Gabrieli. Prawdę mówiąc przyszedł na wesele z inną. Z Krystyną zatańczył wtedy jeden taniec i to wystarczyło, by pomyślał, że mógłby z nią przetańczyć całe życie.

Zauroczenie zmieniło się w uczucie a potem był ślub, a jeszcze później pierwszy urodził się im syn Wojtek a po nim córka Ola. Młodzi dostali do remontu fabryczne mieszkanie Zakładów Cementowi- Wapienniczych. To mieszkanie też miało wpływ na dalsze losy rodziny. A to z powodu, że mieściło się *vis a vis* fabrycznego domu kultury, dziś Centrum Konferencyjne Górażdże Cement SA., a w środku swoje próby miała ta sama co kiedyś górażdżańska orkiestra.

– Pamiętam jej kapelmistrzów: Jerzy Kopka, Jan Friedla, Manfred Makiola – rozmarza się na samo wspomnienie burmistrz Wojtala. – Ta orkiestra grała na wszystkich najważniejszych wydarzeniach w Gogolinie i okolicy. W ten sposób propagowała miejscową kulturę, nasz folklor. Ta muzyka weszła mi w krew, choć na początku nie do końca to sobie uświadamiałem.

Było tylko kwestią czasu, kiedy i on stanie się jej częścią. Niedługo potem przyszedł taki moment, że został tam zaproszony na przesłuchanie do sekcji... perkusyjnej. A że jako samouk grał na tym instrumencie wcześniej w szkolnym zespole, wstydu nie było, a nawet poszło tak dobrze, że został przyjęty.

W ten sposób Joachim Wojtala jako 22-latek spełnił swoje największe marzenie z dzieciństwa.

Dziś przyznaje: Gdyby nie ta orkiestra, nie stworzylibyśmy z Waltraudą Wicher zespołu „Szarne Dziołchy”, nie byłoby kapeli „Chłopczy z familoka”, i kto wie, czy w ogóle byłbym kiedykolwiek burmistrzem.

Tymczasem mamy już rok 1990 i Joachim Wojtala startuje na radnego w pierwszych w Polsce demokratycznych wyborach samorządowych. Ludzie w Górażdżach dobrze go znają, jako tego synka z orkiestry właśnie. Górażdże miały wtedy dwa mandaty, jeden dostał Wojtala, drugi Jan Poloczek, dyrektor szkoły I sekretarz PZPR w Gogolinie. Półtora roku pracował jako kierownik referatu kultury i sportu UMiG w Gogolinie, a gdy przedwcześnie zmarł wiceburmistrz Jan Pawliszyn, burmistrz Urbaniec wskazał Wojtalę na swojego zastępcę.

– Te pierwsze lata w samorządzie to było więcej entuzjazmu niż planowania- wspomina dziś Joachim Wojtala. – Mieliśmy dom kultury pod gołym niebem, godzin pracy nikt z nas wtedy nie liczył.

To wtedy zrodziła się myśl, by kultura, śląski folklor, stały się znakiem rozpoznawczym Gogolina.

– Byliśmy młodzi, zmotywowani, otwarci na pomysły, cieszyliśmy się każdym najmniejszym sukcesem, i tym, że coś od nas zależy – wspomina. – Coraz bardziej dokuczała mi przy tym świadomość własnych niedostatków. W swej pracy poznałem nieprzeciętnych ludzi: prof. Dorotę Simonides,, Jana Goczoła, Franciszka Adamca, prof. Teresę Smolińską, a także Tadeusza Soroczyńskiego – któremu zawdzięczam bardzo wiele, zaprzyjaźniliśmy się, a on wspólnie z Jerzym Lipką po prostu mi ojcował. Nie było innego wyjścia, postanowiłem rozpocząć studia, które we wczesnej młodości nie wydawały mi się aż tak ważne.

Wiele rzeczy wtedy się w nim wykrystalizowało, uwierzył, że Gogolin może się stać kolebką śląskiej kultury na Opolszczyźnie. – Udało się, bo tą myślą zdołałem zarazić lokalnych liderów, sołtysów, radnych, członków mniejszości niemieckiej.



A potem Gogolinowi potrzebna była druga noga: czyli biznes.

– Mamy w Gogolinie wiele firm z obcym kapitałem i to nieprawda, że szuka on u nas taniej siły roboczej. Ten kapitał przynosi ze sobą supernowoczesne technologie, w małym Gogolinie stwarza warunki zawodowego rozwoju nie gorsze niż te na Zachodzie, na światowym poziomie. To nie jest zagrożenie, tylko nasza przyszłość. Ten kapitał ściąga do nas młodych, wykształconych ludzi, którzy już tworzą a będą jeszcze bardziej, oblicze nowego Gogolina XXI wieku – podkreśla burmistrz Wojtala. – Ci, którzy w tego czerpią, pracują widzą, doceniają daną im szansę, nigdy się nie dadzą nabrać na antyunionijną retorykę.

I jak dziś mówi, to był klucz do całej jego samorządowej kariery: podążać za ambicjami mieszkańców. A to jest możliwe tylko wtedy, gdy chce się słuchać ludzi.

Dzisiaj mija dwudziestolecie jego burmistrzowania. – To było możliwe, bo miałem to szczęście, że na swojej życiowej drodze spotkałem tak wielu mądrych i życzliwych mi ludzi. Udało nam się wspólnie zbudować markę miasta, markę Gogolina. Pięć razy w wyborach poddałem się społecznej ocenie i pięć razy ludzie obdarowali mnie swoim zaufaniem. Nie ma lepszej cenzurki dla działań burmistrza niż akceptacja mieszkańców.

Rzecz jasna te dwadzieścia lat szefowania gminie ma też swoje czarne epizody i swoją cenę, którą płacił nie tylko on, ale i cała rodzina. W życiu, choćby najbardziej spełnionym, nie ma nic za darmo.

– Udało nam się w Gogolinie zbudować taką akademię harmonii życia – podkreśla burmistrz Wojtala. Współpraca z podwładnymi, wstuchiwanie się w głosy innych, również te krytyczne, otwartość nie tylko na swoje pomysły, to wartości, którymi starał się kierować przez całe swoje życie, począwszy od chłopaka w górażdżańskiej orkiestrze, poprzez radnego, szefa referatu kultury, wiceburmistrza, studenta, wicestarosty, burmistrza, a przede wszystkim jako Joachim Wojtala, mąż, ojciec, dziadek, sąsiad, człowiek.

– Najważniejsze – podkreśla – to pamiętać, że w życiu każda rola zobowiązuje, a ta, która płynie z wyboru, zobowiązuje w trójnasób. Zawsze też pamiętam słowa Arcybiskupa Alfonsa Nossola, który powtarza: jeśli pierwszy wyciągniesz rękę do zgody, zawsze jesteś wygranym oraz słowa ojca, Jerzego Wojtali, który mawiał: „Żyj i pracuj tak, abyś swoim działaniem mógł ofiarować więcej aniżeli sam otrzymać...”

– Niestety tato zmarł przedwcześnie, w wieku 57 lat, ale jego dewizy życiowe, by tak pracować i żyć, aby swojej rodzinie ofiarować jak najwięcej, pamiętając o tym, że dobro wraca w dwójnasób – na zawsze pozostały w mojej pamięci – wspomina burmistrz Wojtala.

No i że zawsze warto myśleć sercem, ale nigdy zamiast głowy – ale to już jest rada jego własna.



Spotkałem niesamowitych ludzi

To oczywiście banał, że życie pisze najciekawsze scenariusze. Owszem, z tym, że przynajmniej ten jest prawdziwy. Przygotowanie reportażu do tego albumu zajęło rok, ale też zleceńodawcy, czyli Urzędowi Miasta i Gminy Gogolin, w tym pomysłodawcy, burmistrzowi Joachimowi Wojtali, nie chodziło o to, żeby się śpieszyć. Dla autora, czyli mnie, który do tej pory ostatnie lata spędzał głównie nad cudzymi tekstami przy biurku, to była inspirująca podróż i w czasie i w przestrzeni.

Bohaterowie tych reportaży zaprosili mnie nie tylko do swoich domów, ale i do swojego życia, swoich historii, wspomnień, które tak naprawdę składają się na historię Gogolina, miasta, z którym każdy z nich w jakiś sposób był lub jest związany. Zwykle, wydawać by się mogło, szare życie, okazuje się iskrzyć wieloma intrygującymi odcieniami. Tu przeszłość tworzy nierozłączny związek przyczynowo-skutkowy z przeszłością. I jeśli coś jeszcze w losie tych ludzi jest wspólnego, to przede wszystkim poszanowanie tradycji, dekalogu, pracy, które konstytuują ich, ich rodziny, jest azymutem, na którym nigdy się nie zawiedli.

Czy można w oparciu o tradycję, szacunek dla tego co było, budować nowoczesną teraźniejszość, myśleć o progresywnym przyszłości? Tak, można, moi bohaterowie są tego najlepszym dowodem. Takim dowodem jest też sam Gogolin, miejsce życia większości z nich. Ale jest tu też Gogolin- imaginacja, miasto, którego nie ma, a które pamiętają z dzieciństwa. Również te warstwy archeo, wciąż żywe w ludzkiej pamięci, tworzą solidną podbudówkę, bez której nie byłoby Gogolina 2023 roku.

I jeśli przyjrzeć się bliżej losom moich rozmówców, widać wyraźnie, że prawie każdy przypadek w ich życiu był nieprzypadkowy. Pewnie, że nie od razu to się okazywało, nie od razu to sobie uświadamiali, ale w perspektywie widać to jak na dłoni. Kto wie, może rzeczywiście, gdzieś tam losy nas wszystkich są już spisane, i chodzi tylko o to, byśmy tego nie zepsuli...





Епаглин - Крстница при ул. Одредској



Епаглин - јоанска Крстница



800 lat
GOGOLINA
1223-2023





Gogolińskie przedszkolaki starannie pielęgnują regionalne tradycje.



Życzenia dla Gogolina

Dzisiaj obchodzimy jubileusz w Gogolinie,
które z pomnika oraz pieśni o Karliku i Karolinie słynie.
To są nasi dzielni przodkowie,
o których każdy przedszkolak Państwu opowie .

Jak wielu z Was już słyszało Karolinka zanim za Karlika
za mąż wyszła – wiele się działo.
Uciekała przed nim przez gminy miejscowości,
aż w końcu go poślubiła i żyli szczęśliwie do późnej starości.
Ich potomkowie w Gogolinie żyją
są z tego dumni, radości swej nie kryją.

My przedszkolacy tu w Gogolinie
mamy przyjaciół i kochającą rodzinę.
Gogolin tak wiele dla nas znaczy,
to miejsce nasze – życia, zabawy i pracy.
Gogolin to miasto , to miasto moje .
Zawsze tu wracam , bo ono jest moje.
Chodź czas zmienia nas, zmienia okolice,
to miasto ma swoje dawne i nowe życie.

800 lat - tu tak wiele się działo.
Były chwile radosne, smutków też nie mało.
Przez te wszystkie lata Gogolin nam się rozrastał.
Wciąż piękniał, wzbogacał i zyskał statut miasta.

Czego ci życzyć mój Gogolinie,
które z gospodarności i pieśni ludowej słynie?



Panu Burmistrzowi od rządu wielkich dotacji,
mieszkańców zadowolonych, budżetów domkniętych
i z pracy satysfakcji.

Mieszkańcom – parków , nowych mieszkań, ulic asfaltowych i zadowolenia,
z tego jak nasze miasto korzystnie się zmienia.

Kierowcom – wiaduktu upragnionego
bo pieszym, już nie trzeba życzyć przejścia podziemnego.

Inwestorom i przedsiębiorcom – niskich kosztów, wysokich przychodów,
korzystnych transakcji i na giełdzie wartościowych akcji.

Oświacie subwencji wysokich i osiągnięć naukowych
Służbie Zdrowia pacjentów – jak „rydz” zdrowych.

Emerytom krzepy i radości w życia jesieni,
niech ich pozytywne nastawienie do życia
nigdy się nie zmieni.

Policjantom niewielu przestępstw do wykrycia,
pochwał, medali i awansów do zdobycia.

Gminnemu Ośrodkowi Kultury - zajęć artystycznych i mnóstwa kulturalnych atrakcji
Centrum Usług Społecznych – ciekawych projektów i z troski o mieszkańca każdego
wielkiej satysfakcji

Gminnej Bibliotece Publicznej – czytelników aktywnych i księgozbiorów bogatych

Zespołowi Rekreacyjno – Sportowemu – wydarzeń sportowych i obiektów nowych

Strażakom – niewielu akcji i nowych wozów bojowych

Gościom , turystom , którzy Gogolin odwiedzają

- wspaniałych wrażeń, niech znów nas odwiedzają.

A nam dzieciom czego życzyć trzeba?

- miłości i troski Was dorosłych , dzieciństwa cudownego

i kolejnego jubileuszu tak wspaniałego!!!



Znaczek z okazji 800-lecia Gogolina - autor Patryk Ptok



ISSN 2544-087X



Urząd Miejski
w Gogolinie

Gogolin 2023